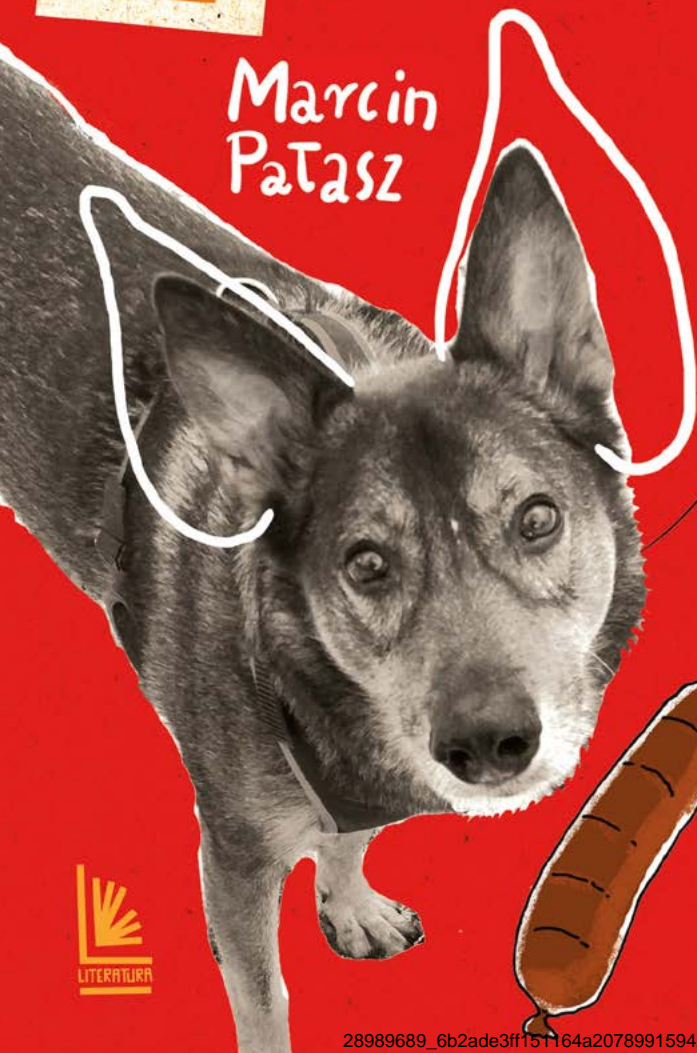


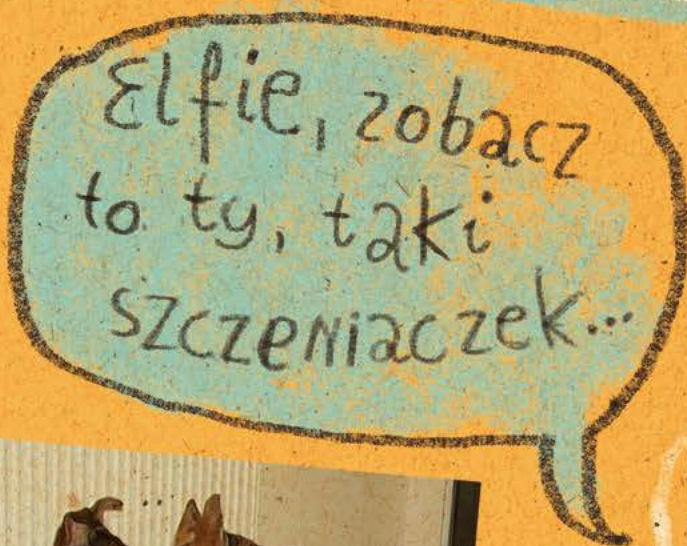
SPOSÓB na TO ELfa

Marcin
Pałasz



Rysunki
Kasia Kotodziej





↑ mTody Elf



SPOSÓB na ELfa

SPOSÓB na ELfa

Marcin
Pałasz



Rysunki
Kasia Kotodziej



Marcin Pałasz
Sposób na Elfa

© by Marcin Pałasz
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Katarzyna Kołodziej

Korekta:
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie IX
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-788-2

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630 23 81
www.wydawnictwoliteratura.pl

Marząc o lesie i oswojonym człowieku



Cześć!

Mam na imię Elf¹. Tylko nie pytajcie mnie o nazwisko, bo to byłoby trochę głupie. Nazwiska mają ludzie – widocznie tego potrzebują. Ktoś może powiedzieć, że to niesprawiedliwe, ale z kolei my wszyscy, tutaj, mamy różne rzeczy, których ludzie nie mają.

Na przykład ogony.

Nie wiem, jak można nie mieć ogona. Ogon przecież jest fajny, można sobie nim pomerdać i w ogóle. Ludzie nie wiedzą, co tracą, nie mogą merdać. Poza tym ludzie są prawie łysi w porównaniu z nami. Zęby też mają nie takie, jak trzeba. Chyba jedyne, czego im zazdroścę, to ręce. Fajnie byłoby mieć takie sprawne palce. Ale, z drugiej strony, przez to, że mają ręce, muszą chodzić na dwóch tylnych łapach – mówią na nie „nogi”. Sam nie wiem, czemu się nie przewracają? Ja umiem stanąć na tylnych łapach, ale na krótko. Potem znowu muszę stanąć na wszystkich czterech. A ludzie chodzą i chodzą, i tylko na dwóch.

Dziwni ci ludzie, no nie?

¹ ELF (ang. *Extraordinary Life Form*) – Bardzo niezwykła forma życia.

Nudno trochę w tej klatce. Gdyby nie moja siostra Erka, to już byłby zupełny klops, ale na szczęście jeszcze nikt jej nie zabrał. Bo czasem tak jakoś jest, że niektórzy z innych klatek nagle znikają. To znaczy nie tak, że naprawdę znikają, ale ktoś ich zabiera. Przychodzą tu różni ludzie, oglądają nas po kolei i niekiedy mówią: „O, ten! Ten!” – i wtedy nie mija wiele czasu, a „ten” odchodzi razem z nimi.

W klatce obok mieszka taki Tofik. Podobno owczarek alzacki z rodowodem, choć ja mam co do tego pewne wątpliwości. No ale to nieważne. Ważne jest to, że Tofik mówi, że tam dalej, za tym wysokim ogrodzeniem, wcale nie ma żadnych klatek! Psy sobie chodzą albo luzem, albo na takich długich sznurkach, na które mówi się „smycz”. I każdy – no, prawie każdy – pies ma tam swojego człowieka. Trzeba go tylko odpowiednio oswoić, nauczyć, żeby karmił swojego psa i wyprowadzał na spacer.

O właśnie – SPACER! To kolejna rzecz, o której opowiedział nam Tofik. Spacer polega na tym, że pies zabiera swojego człowieka poza tę klatkę, w której razem mieszkają. Taką dużą klatkę ludzie nazywają „dom” albo „mieszkanie”. I tam sobie żyją, bo tak lubią. Trochę tego nie rozumiem, bo Tofik pokazał mi takie jedno drzewo, które rośnie tu u nas, w schronisku. I powiedział, że za murem są takie miejsca, gdzie, jak okiem i nosem sięgnąć, są tylko same drzewa! To się nazywa „las”. Można sobie biegać, obsikać, co tylko się chce, i wcale nie ma żadnych klatek. Jak jesteś zmęczony, to się kładziesz, a jeśli chcesz pobiegać, to biegasz! I tego nie rozumiem. Skoro są takie fajne lasy, to po co ludzie budują te swoje mieszkania?

Ja tam myślę, że ten cały Tofik trochę zmyśla, ale Erka mu wierzy. Ona w ogóle jest trochę inna niż ja. Wszystkiego się boi, a gdy ktoś obcy przechodzi koło naszej klatki, od razu zwija się w małą kulkę, choć przecież jest całkiem sporym psem. Takim jak ja! Wszyscy dookoła mówią, że prawie nie można nas od siebie odróżnić, bo jesteśmy bliźniakami. Tyle że ona jest psią dziewczynką, a ja psim chłopcem.

Tak sobie myślę, że byłoby nieźle, gdyby ktoś nas stąd wziął. Chciałbym zobaczyć te lasy, i nawet te mieszkania ludzi. Mielibyśmy swojego człowieka, który zabierałby nas na spacer. Na pewno udałoby się nam dobrze go wychować, no nie? Bo my jesteśmy fajne psy! Ale jakoś nikt do tej pory nas nie chciał wziąć. Najczęściej ludzie biorą yorki albo pudelki, albo takie małe szczeniaki, ale my mamy już po pół roku i jesteśmy całkiem duzi.

No i gdyby ktoś nas zabrał, nie straszylby nas więcej ten wredny husky. Rambo mu dali na imię. Gdy tylko się spotykamy na wybiegu, on od razu się na nas rzuca, straszy, warczy i zapędza nas do kąta. A gdy ktoś rzuca nam coś smacznego, to natychmiast to sobie zabiera. Czasem śnią mi się w nocy te jego niebieskie ślepie, a Erka mówi mi potem, że okropnie piszczałem przez sen.

Niech nas stąd ktoś weźmie...

Mam dość tego Rambo. No i szkoda mi Erki, bo on uwziął się na nią jakoś szczególnie. A ja kocham moją siostrę bliźniaczkę!



Przeprowadzka, nowy pomysł Młodego i pewien niezwykły sen



– Więcej tych książek nie miałeś? – warczał gniewnie Młody, taszcząc po schodach kolejne dwie reklamówki wypełnione moimi ukochanymi książkami, których w żaden sposób nie umiałem się pozbyć. – W dodatku sadyście wybrałeś mieszkanie na ostatnim piętrze!

– Czyli zaledwie drugim – zauważyłem ostrożnie, sam obarczony kartonem z talerzami oraz monitorem do komputera. – Nie narzekaj, nie mieszkamy w wieżowcu, okaż trochę wdzięczności.

– W wieżowcach przynajmniej są windy!

No tak, tu miał rację.

– Ale popatrz sam – rzekłem zachęcająco. – Wszystko teraz mamy pod nosem. Dużo zieleni na całym osiedlu, apteka na dole, parę dużych sklepów tuż obok, przychodnia kawałek dalej...

– Przewidujesz ciągle choroby? – przerwał mi kąśliwie. – Chociaż, jeszcze parę tych kartonów i reklamówek i pewnie dostanę nieodwracalnego skrzywienia kręgosłupa. I naderwania mięśni. I...

– I wtedy apteka będzie jak znalazł – przerwałem mu trzeźwo. – Nie marudź, leziemy na górę, jeszcze dwa kur-

sy po schodach i będzie po wszystkim! Wieczorem mają przywieźć kanapę i szafę. Albo dwie szafy i biurko. Nie jestem pewien, muszę sprawdzić...

– Kupię ci w tej aptece coś na problemy z pamięcią – mrucał Młody zjadliwie, gmerając kluczem w nowym zamku w drzwiach, po czym nagle zrezygnował. – Dobra, sam sobie otwórz, ja lecę na dół po resztę.

Znałem go na tyle długo, że chyba rozumiałem powód tej nagłej chęci powrotu do samochodu po resztę książek.

– Bardzo ładnego miała psa, nieprawdaż? – zagadnąłem niewinnie, na skutek czego Młody prawie zleciał ze schodów na półpiętro.

– Kto taki? – spytał z doskonale odegranym zdumieniem.



– Ta dziewczyna wychodząca z sąsiedniej klatki – bąknąłem, otwierając drzwi. – To był chyba collie, o ile się nie mylę. Patrzyłeś na nich tak, że prawie przytrzasnąłeś sobie rękę klapą od bagażnika. No leć już, leć, może akurat będą wracać ze spaceru.

– Potwór – zawyrokował Młody, kręcąc głową. – Czy ty zawsze musisz widzieć takie rzeczy?

– Jestem twoim ojcem – przypomniałem mu, taszcząc torby do mieszkania. – Wiesz, to zobowiązuje.

– Moim zdaniem to całe pisanie książek zbytnio wyostrzyło ci zmysł obserwacyjny... – dobiegło z dołu, a kolejne słowa zostały zagłuszone oddalającym się tupotem. Może to i lepiej?

Potem na dole trzasnęły drzwi, a ja zostałem ze stertą toreb, pudeł i walizek oraz myślą, że w sumie całkiem fajnie jest być ojcem wyrośniętego gimnazjalisty.



– Powinniśmy mieć psa! – wypalił zniecierpliwiony Młody nad prowizoryczną zapiekanką przyrządzoną z tego, co udało nam się przewieźć ze starego mieszkania. – Co to jest, to coś?

– Oliwki – odparłem, lekko ogłuszony, patrząc na szczątki, które akurat wskazywał palcem. – Dlaczego?!

– No właśnie nie wiem, dlaczego wrzuciłeś je do zapiekanki. Wiesz, że nie lubię oliwek.

– Nie o to chodziło. Dlaczego powinniśmy mieć psa?!

– Bo tu dużo zieleni, sam mówiłeś – bąknął, uciekając wzrokiem i zjadając bezwiednie wszystkie odłożone na bok oliwki. – Przyjemnie biegałoby ci się z psem, no nie? O, to zielone całkiem dobre...! A Kara mówiła, że tam dalej, za torami, są takie wielkie łąki. I Ślęza płynie, można by brać psa ze sobą.

Aha, tu cię mam!

– Kara, mówisz? – rzekłem ze zrozumieniem. – Więc tak ma na imię? No tak, przyjemniej biegałoby ci się z nią i dwoma psami, to rozumiem.

– A ty od razu takie rzeczy...! – oburzył się Młody, odgarniając długie włosy i gwałtownie się czerwieniąc. – Ty przecież też biegasz! No tak, ale akurat wracała wtedy z Lindą, tą suką. Piękna jest, no nie?

– Obie są urocze – przyznałem. – Ale... pies? Nasz?

– Pies, nasz. Taki całkiem własny, który by nas kochał nad życie, witał, cieszył się, że wracamy do domu, i w ogóle.

– I którego trzeba codziennie trzy razy wyprowadzać, dbać o niego, bawić się z nim, karmić...

– Oj, przecież wiem! – stęknął Młody. – Dzielilibyśmy się obowiązkami, no nie?

– Właśnie nie wiem – rzekłem z lekką obawą. – Muszę to przemyśleć. Wrócimy do tego rano, okej?

– Ha! – wykrzyknął oskarżycielsko, rzucając we mnie kolejną wygrzebaną z zapiekanki oliwką. – Wiedziałem! Gdy tak mówisz, od razu wiadomo, że nic z tego! A na twojej stronie w internecie jak byk jest napisane, że marzysz o tym, by mieć psa!

Byłem zbyt zmęczony, by teraz o tym rozmawiać.

– Obiecuję, że naprawdę pogadamy o tym rano – rzekłem, wstając od stołu i chowając naczynia do zmywarki. – Faktycznie marzę o psie, ale po wniesieniu kanapy i twojej szafy chwilowo mam dość...

– Mięczak – prychnął Młody pod nosem, ale doskonale widziałem, że przy tym chichocze, więc nie dostał kuksańca.



Pomimo zmęczenia, zasnąć jakoś nie zdołałem. Może to przez nowe łóżko, nowe miejsce? Nie miałem pojęcia. W końcu zirytowany tym, że Młody słodko pochrapuje za ścianą, a ja nie mogę – otworzyłem laptopa i zacząłem przeglądać portal aukcyjny. Jakoś tak się stało, że kliknąłem na kategorię „Zwierzęta”, potem „Psy”... Z czystej ciekawości chciałem sprawdzić, ile kosztuje szczeniak z dobrej hodowli. Na przykład wyżeł, o którym faktycznie marzyłem. Nie po to, oczywiście, by go od razu kupić... Tylko i wyłącznie by sprawdzić.

Chwilę później zamarłem i prawie straciłem oddech na widok wpatrzonych we mnie z ekranu orzechowych oczu, spoglądających na mnie lękliwie spod wielkich uszu. Zapatrzyłem się w rozmarzony i lekko smutny wyraz psiego pyska i pomimo tej melancholii w jego oczach dostrzegłem jakąś taką iskierkę, takiego „chochlika”, takie po prostu COŚ, że nie mogłem przestać patrzeć!

Gdy odrobinę ochłonąłem, przeczytałem opis aukcji. Czyli to żaden rasowy psiak, hmm. Ze schroniska, za symboliczną złotówkę – no dobrze, niech będzie. Na innych zdjęciach stał, biegał, nawet pływał! Prześliczny, sześciomiesięczny psiak w typie owczarka niemieckiego, ale dużo smuklejszej budowy, w dodatku z tymi niesamowitymi uszami... Zaś „chochlik” w oczach był widoczny niemal na każdej fotce!

A w dodatku psiak miał na imię Elf!!

Wpadłem po uszy.

Dosłownie się zakochałem.

Przepadło, koniec i kropka, Elfie – będziesz miał swój własny dom!

Tylko co na to Młody...?





Obudziłem się w środku nocy, pełen jakichś dziwnych, niezwykłych uczuć. Erka uniosła czujnie łeb, ziewnęła i spojrzała na mnie z niepokojem.

– Znowu śnił ci się Rambo? – spytała cichutko i ze współczuciem.

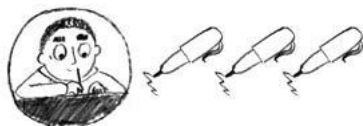
– Nie! – pisnąłem. – Nie wiem nawet, jak to opowiedzieć...

Rzeczywiście. Sen był jakiś niezwykły – wielka łąka, sporo drzew w oddali, a ja biegłem przed siebie, pędziłem, skakałem i byłem w tym śnie tak szczęśliwy jak chyba jeszcze nigdy wcześniej!

Ale wiedziałem też, że obok jest ktoś ważny, kogo muszę strzec i pilnować, i troszczyć się o niego... Kto to jednak był? Nie miałem zielonego pojęcia, psiakość!

– Nic nie rozumiem – mruknąłem w końcu, ziewnąłem, zwinąłem się w kłębek i znowu zasnąłem. I spałem spokojnym snem, bez żadnych koszmarów, aż do samego rana.

CZY SEN SIĘ SPĘTNI?



Śniły mi się nasze łąki! Sen jak to sen – trochę niewyraźny, mglisty i nie zawsze zrozumiały, ale na pewno w tym śnie byłem na łąkach, była Śleza i był... pies! Biegał i skakał, ale nie do końca pamiętałem szczegóły. Niemniej tak jakoś lekko i radośnie mi się spało i w takim samym nastroju się obudziłem. Młody, oczywiście, od razu to zauważył, jeszcze przed wyjściem do szkoły. Gdy nieopatrznie powiedziałem mu, co mi się śniło, niemal śmiertelnie się na mnie obraził. Tym bardziej, że tuż po przebudzeniu zdążyłem mu pokazać zdjęcia Elfa w internecie i – ku jego ogromnemu zdumieniu – poprzec jego wniosek, by przygarnąć psa.

– Czyli śnił ci się Elf! – rzekł oskarżycielsko, zakładając plecak i myląc buty. – A mnie się nie śnił!

– No i co z tym zrobimy? – spytałem z lekką skruchą. – Nic na to nie poradzę...

– Bezczelność! – oświadczył, trzasnął drzwiami i tyle go widziałem. Po chwili drzwi otworzyły się jeszcze na pół sekundy. – Zrywam stosunki dyplomatyczne!

Miałem wyrzuty sumienia do czasu, gdy wrócił ze szkoły. Najwyraźniej uraza o mój sen zdążyła mu przejść,

zresztą zdołał poprawić matematykę na ocenę dobrą, a to już był powód do dumy!

Teraz siedzieliśmy przy stole w kuchni i dokładnie oglądaliśmy wszystkie zdjęcia Elfa, jakie tylko znaleźliśmy w necie.

– Sypiesz okruszki na laptopa – zauważyłem smętnie.

Istotnie, nie mieliśmy wczoraj już czasu kupić świeżego żytniego chleba, który uwielbialiśmy, Młody musiał się więc zadowolić prawie czerstwą bułką z masłem i ogórkiem w plasterkach.

Podniósł na mnie roziskrzony wzrok i machnął kanapką tak, że plasterzek ogórka odleciał i przylepił się do lodówki.

– Ej, on jest super! – wykrzyknął. Moja uwaga o okruskach i laptopie najwyraźniej w ogóle do niego nie dotarła. Albo uznał ją za mało istotną wobec perspektywy posiadania psa. – Taki śmieszny, i nawet na fotkach widać, że wesoły!

Czyli ta lekka melancholia w psim spojrzeniu była tylko moim wymysłem? Hmm. Może akurat byłem tak zmęczony, że niewyraźnie widziałem te zdjęcia w nocy?

– Zadzwon tam od razu – mówił Młody, stukając gorączkowo na klawiaturze. – Żeby nikt go nie wziął, broń Boże! On musi być nasz. Ja już piszę Olkowi, że będę miał psa!

– Będziemy – wtrąciłem dość beznadziejnie. – Będziemy mieć, nie będziesz...

– Tak, tak – przerwał mi niecierpliwie. – Dobrze, że już niedługo wakacje, bo chcę jechać tam po niego z tobą, a to przecież cały dzień nam zajmie.

– Jak to cały dzień? – zdumiałem się. – Schronisko nie jest daleko!

Młody uniósł brew i przyjrzał mi się dziwnym wzrokiem spod rozwichrzonej grzywy płowych włosów.

– Wydawało mi się, że pisarz powinien umieć czytać ze zrozumieniem – mruknął zgryźliwie. – Przecież on jest gdzieś pod Warszawą! Nie doczytałeś tego?!

Nie doczytałem.

O mój Boże!



– Że co?! – jęknąłem do słuchawki, ale natychmiast się zmytygowałem. – Wizyta przedadopcyną?

– Co takiego?! – szeptał mi gorączkowo Młody do drugiego ucha, prawie mi je przy okazji odgryzając. – Jak to?

– Siedź cicho – zażądałem wściekle, co lekko zdumiało moją rozmówczynię. – Nie, to do syna. Jest lekko... podekscytowany.

Pięć minut później skończyłem rozmawiać, a Młody dosłownie rzucił się na mnie.

– Podpisujemy umowę z fundacją Niczyje, która opiekuje się Elfem – tłumaczyłem, drżącymi rękami usiłując nalać sobie soku do szklanki. – Umowę adopcyną. Taką oficjalną! I przyjdzie tu do nas pani. Z psem. Znaczy się, swoim, nie z Elfem. Żeby wszystko zobaczyć i z nami porozmawiać.

– Rozumiem – Młody po chwili namysłu pokiwał głową. – Nie chcą oddać psa potencjalnym zwyrodnialcom, którzy przywiążą go potem do sznura i powłoką za samochodem. Bardzo rozsądnie!

– Nie przypominaj mi tego – rzekłem błagalnie.

To, o czym wspomniał mój syn, nagłośnione jakiś czas temu przez telewizję, sprawiło, iż coraz częściej zastanawiałem się, jak nazwać istotę ludzką, która potrafi zrobić coś takiego zwierzęciu. Bo że człowiekiem nie jest, było dla mnie oczywiste. Bydlę? Nie, to określenie obraża z kolei niektóre zwierzęta hodowlane...

– Wszystko będzie dobrze! – rzekłem możliwie bez troski. – Nie jesteśmy przecież rodziną patologiczną.

– A jeśli tej pani coś się nie spodoba?!

– Co znowu może jej się nie spodobać? – skrzywiłem się. – Kolor ścian czy kwiaty doniczkowe?!

– Nie wiem. Chociaż nie, czekaj! Niektóre rośliny doniczkowe podobno są trujące. Dobrze, że o tym powiedziałeś, zaraz sprawdzę, co za badyle masz w swoim pokoju.

– Badyle?!

– Ale wiesz, jeśli ten pies jest wyjątkowo spokojny, to nie będzie do nas pasował – ciągnął Młody złowieszczco, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje oburzenie. – Bo my nie jesteśmy całkiem normalni, to przecież oczywiste dla każdego, kto choć trochę nas zna.

– Nasze dziwne poczucie humoru postaramy się trzymać na wodzy, zrozumiano? – zażądałem surowo, uznając, iż Młody ma trochę racji. – Nie martw się na zapas, będzie dobrze!

– Jasne – rzucił Młody zgryźliwie, odbierając mi karton z sokiem. – Dentysta też zawsze tak mówi chwilę przed tym, gdy usiłuje mnie zabić swoimi narzędziami. Daj ten sok, ja ci naleję. Łapy ci z emocji tak drżą, jakbyś miał Parkinsona. Niech ci się tak nie trzęsą, gdy ona przyjdzie, bo od razu pomyśli, że coś z tobą nie tak.



– Dziwnie się zachowujesz – zauważyła Erka, gdy skończyła pić wodę z miski. – Ciągłe biegasz, a potem znienacka siadasz i patrzysz nie wiadomo na co. I ciągle się śmiejesz!

– Naprawdę? – zdumiałem się, przestając biegać wokół drzewka na naszym wybiegu. Rozejrzałem się, ale na szczęście Rambo chyba tym razem był w swojej klatce. – Sam nie wiem. Jakoś ostatnio mam lepszy humor, to fakt.

– Ty zawsze masz dobry humor – szczeęknęła krótko moja siostra. – Prawie każdego lubisz, ciągle się bawisz, ale trzy ostatnie dni to już lekka przesada. Stało się coś, o czym nie wiem?

Zastanowiłem się. Przecież nic się takiego nie wydarzyło! A w dodatku z jednej z klatek zniknął Koral – fajny, spokojny mieszaniec dalmatyńczyka i amstafa... To jednak powinien być dla mnie powód do zmartwienia, bo Koral zawsze starał się bronić nas przed napadami złości, które miewał Rambo. Teraz jednak zabrali go ludzie nie wiadomo dokąd... a ja rzeczywiście miałem coraz lepszy humor!

– Nie wiem, Erka – przyznałem, drapiąc się za uchem. – Takie mam fajne sny ostatnio, że to aż dziwne! I czuję, że niedługo spotka mnie coś fajnego.

– Ciebie czy nas? – spytała z zaciekawieniem Erka. – Bo ja jakoś nic na razie nie czuję.

– Skoro mnie, to i ciebie, no nie? – zdumiałem się, bo to przecież było oczywiste! Erka była ze mną od zawsze, od kiedy tylko sięgałem pamięcią... czyli nie tak w sumie znowu długo, ale jednak. Więc jeśli coś dobrego miało spotkać mnie, to i ją również!

– No, zobaczymy – ziewnęła i też się podrapała. – Bo trochę tu nudno, gdy nie ma Korala, nie uważasz?



– Coś ty tu przytargał?! – spytał ze zgrozą Młody, gdy wszedłem do domu późnym wieczorem, wracając ze spotkania autorskiego z czytelnikami we Wrześni. – Co to jest?!

– Miski na karmę i wodę – wysapałem, stawiając na podłodze w kuchni dwie ciężkie torby. – Kilka zabawek do gryzienia i rzucania. I worek karmy. Podobno taka najlepsza. Wiem, że u nas też są takie sklepy, ale we Wrześni, koło rynku, trafiłem na sklep zoologiczny, wszedłem i nie mogłem się oprzeć. Myślisz, że Elf lubi ryby?

– Lubi – oświadczył z zaskakującą pewnością siebie. – Ktoś tam wziął go na spacer, a on zanurkował w jezioru i wyłowił żywego karpia, czy jakąś inną makrełę. Czytałem o nim na forum, na Dogomanii...

– Masakrator! – rzekłem z podziwem. – Czyli lubi ryby, bardzo dobrze. Bo karma jest na bazie czegoś, co nazywa się gromadnik. Taka ryba podobno.

– Dobrze, że nie na bazie pałasza – zachichotał Młody. – Bo pałasz to też gatunek ryby. Wiedziałeś o tym w ogóle? Głupio by było, gdyby zjadał cię na obiad.

– Ciesz się, że masz inaczej na nazwisko – mruknąłem ponuro. – Z twoim nazwiskiem byłbyś bardzo ciężkostrawny nie tylko dla psa, ale nawet dla krokodyla!

– Oj tam, czepiasz się – machnął ręką. – Dobra, to ja jutro kupię mu jeszcze takie wygodne legowisko. Tam dalej, za cukiernią, jest sklep zoologiczny. Zostaw mi



rano stówę na stole. Kupię po szkole. I obiecuję, że nie będzie różowe.

Przewróciłem oczami, westchnąłem ciężko, ale posłusznie sięgnąłem po portfel.

Jak by nie patrzeć, następnego dnia miała się u nas zjawić pani z wizytą przedadopcyjną. A jeśli dobrze pójdzie, to już pojutrze Elf będzie u nas! Okazało się bowiem, że akurat do Wrocławia z Warszawy będą jechać ludzie zajmujący się psami, fachowcy, którzy z chęcią wezmą Elfa w specjalnej klatce podróżnej jedynie za zwrot kosztów paliwa. Z radością się na to zgodziłem, bo – znając siebie – nie wiem, czy byłbym w stanie bezpiecznie prowadzić auto, mając świadomość, że z tyłu jedzie nowy członek rodziny... Bo przecież pies to członek rodziny, to było dla mnie oczywiste! Pomocne by było podczas jazdy posiadanie dodatkowego oka z tyłu głowy, a jeszcze lepiej

– takiego na wysuwanej szypulce. Niestety, natura nie przewidziała, że kiedyś będę miał jechać autem po psa, więc dodatkowego oka nie miałem.

Zaraz, pojutrze?!

Mój Boże, to już?!

Jupiiii...!!!

**Dzień, który w końcu
musiał nadejść**



Już sam fakt, że kawałek czegoś dziwnego w misce z jedzeniem okazał się bardzo gorzki, powinien dać mi do myślenia. A nie dał. Potem wokół naszego boksu kręciło się sporo osób, patrząc na nas i wymieniając rozmaite uwagi. Trzeba było ich słuchać... a nie słuchałem.

I zaraz po śniadaniu stało się coś absolutnie strasznego, okropnego i koszmarnego... Wyciągnięto mnie z boksu – nawet nie protestowałem, bo po zjedzeniu tego czegoś gorzkiego byłem okropnie spokojny i śpiący... Za to spłoszona i przerażona Erka została w boksie, czekając i płacząc, zaś mnie zapakowano do ciasnej klatki, którą nazywali „transporterem”, i zanieśli do jakiejś okropnej, dziwnie pachnącej rzeczy, do której wsiadło również troje obcych ludzi!



Co gorsza, owa dziwna rzecz, sama z siebie, zaczęła się toczyć, przyspieszyła i uwiozła mnie w siną dal. Coraz słabiej słyszałem błagalne szczekanie, piski i wycie mojej kochanej Erki, która została w schronisku zupełnie sama....!

Nie wytrzymałem. Pomimo senności, serce biło mi tak szybko z przerażenia, niepokoju i żalu, że zawylem. Długo, przeciągle i najbardziej żałośnie, jak tylko potrafiłem...



– Jak to: dziś koło dwudziestej?! – jęknął Młody boleśnie. – Nie mogą przyjechać jakoś jutro? Albo wcześniej?!

Rozumiałem go. Dziś o dziewiętnastej mój syn miał jakiś ogromnie ważny trening tai-chi czy innego taekwondo, na które uczęszczał od minionej zimy. Wciągnął się w to niesamowicie i wiedziałem, że akurat tego treningu nie mógł sobie odpuścić, bo kończył się egzaminem.

Pech!

– Może będą korki we Wrocławiu? – bąknąłem niepewnie, chcąc go pocieszyć. – Jadą od strony Warszawy, więc może...

– Dojadą obwodnicą w piętnaście minut! – warknął Młody, patrząc na mnie ze złością. – Otworzyli tę całą głupią obwodnicę tylko po to, żeby mi życie zniszczyć, czy jak?! Kurde, a tak bardzo chciałem być na miejscu, jak on przyjedzie!

Położyłem dłoń na jego dłoni, zaciśniętej w pięść. O dziwo nie wyrwał jej.

– Młody – rzekłem ciepło, spoglądając mu w oczy. – On zamieszka z nami na całe swoje psie życie! Nie martw się. Wrócisz, a on już po prostu będzie. Pewnych rzeczy nie przeskoczysz. Zawsze mi powtarzasz, bym nie denerwował się tym, na co nie mam wpływu... I często tak robiłem. Pomagało! Więc teraz ty to zrób. No...?

Milczał chwilę, ale chmurne spojrzenie trochę jakby złagodniało.

– Niech będzie – mruknął w końcu. – Ale obiecaj, że jak tylko przyprowadzisz go do domu, dasz mu do powąchania moją koszulkę, dobra? Nie chcę, by rzucił mi

się do gardła, gdy znenacka wrócę z treningu. Ale może jednak się spóźni? Jak myślisz?



Nie spóźnili się.

Na miękkich nogach zszedłem na dół, przemierzyłem dziedziniec i otworzyłem furtkę prowadzącą na chodnik i parking. Niewielki minivan stał dokładnie tam, gdzie zapowiedział przez telefon Marcin – jeden z ekipy, która przywiozła do Wrocławia Elfa i jeszcze jednego szczeniaka, również dla kogoś, kto zdecydował się przygarnąć psa ze schroniska.

Marcin śmiał się, gdy słyszał mój głos podczas rozmowy telefonicznej, bo już wiedzieli, że dla mnie to nie lada wydarzenie! Postanowiłem jednak wziąć się w garść. Poza tym w ciągu ostatnich dni dużo czytałem o psach, ich psychice i zachowaniach. Może nie dam plamy?

Symulując pewność siebie, podszedłem do vana i przywitałem się z Marcinem, Anią i Tomkiem, który otworzył tylną klapę.

– Wiesz co? – mówiła nerwowo Ania. – Weź go może od razu na ręce. Tak źle zniósł podróż, wymiotował, bidulek... Raz prawie z szelek wyskoczył! Teraz też może się wyrwać, a nie ma jeszcze chipa, tylko adresówkę...

Tymczasem Tomek wyłonił się zza samochodu, trzymając w dłoni smycz, na końcu której – na podkulonych łapach, z ogonem schowanym aż pod brzuchem – szło coś, na widok czego serce mi skoczyło i wykonało salto mortale.

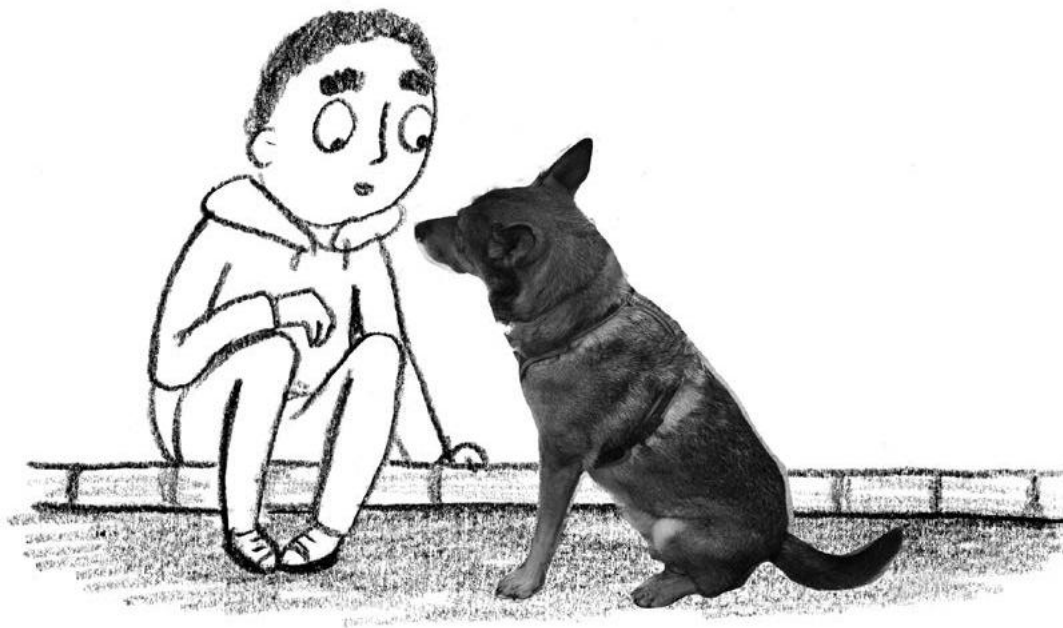
Elf był trochę większy, niż się tego spodziewałem po obejrzeniu zdjęć. Pięknie umaszczony – czarny, podpalany, wyglądał na niedużego wilczurka, ale przy okazji był niesamowicie szczupły, bardzo proporcjonalny, a ogromne uszy tylko dodawały mu uroku.

Jedynie oczy – spłoszone, biedne, zalęknione – mówiły o tym, co ten psiak teraz czuje...

Nie wytrzymałem. Podeszedłem do niego powoli, lekkim łukiem, zachodząc go od boku, by go nie wystraszyć. Tomek i Marcin wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a zaniepokojona Ania znowu zaproponowała, bym wziął go na ręce. Elf bowiem spojrzał mi w oczy i w tym momencie aż przysiadł, skulił się niesamowicie i drżał.

– Poczekajcie – poprosiłem cicho, po czym wziąłem smycz w swoją spoconą z emocji dłoń. – Dajcie mi chwilę.

Po czym usiadłem na chodniku tuż obok zalęknionego psiaka i zacząłem do niego mówić. Cichym, spokoj-



nym głosem zacząłem opowiadać mu bajkę. Bajkę o Elfie, wspaniałym psie, który wreszcie znalazł swój domek. O Elfie, na którego czeka miska pełna dobrego jedzenia, wspaniałe zabawki i wygodne spanie. O Elfie, który nie będzie już mieszkał w klatce, tylko chodził na długie spacery, przynosił rzucane mu patyki, który będzie biegał i cieszył się wspaniałym psim życiem. O Elfie, który wreszcie będzie miał swoich własnych, kochających go ludzi...

I nie obchodziło mnie, czy Ania, Marcin i Tomek wezmą mnie za wariata.

Ważne było to, że po niedługim czasie Elf podniósł głowę i odważył się po raz drugi spojrzeć mi w oczy. Potem nadstawił uszu i zaczął słuchać...

Powolutku wstałem.

Elf również wstał, spoglądając na mnie niepewnie.

Zrobiłem krok w bok. Pies przysunął się do mnie.

Zrobiłem krok do przodu. Elf też zrobił krok do przodu.

– Siła spokoju...! – szepnął z tyłu Marcin. – Nie, no ja nie mogę! Nie wierzę!

– Słuchajcie – poprosiłem cicho. – Formalnościami zajmujemy się później, dobrze? Teraz wołałbym z nim iść...

– Idź! – pogoniła mnie Ania, a w jej głosie po prostu dzwonił radosny śmiech. – Idźcie obaj! Papierki mogą poczekać nawet parę dni, nie pali się!

Więc poszedłem. Wolnym krokiem, w stronę furtki i dziedzińca.

Elf, ciągle na ugiętych łapach, z podkulonym ogonem, szedł tuż przy mojej nodze. Raz tylko obejrzał się na samochód i trójkę dobrych ludzi, którzy go do mnie przywieźli.

A potem razem poszliśmy do domu.



Zabrali mnie! Zabrali mnie od mojej kochanej Erki...

W tym czymś, co nazywa się „samochód” – tak przynajmniej rozumiałem – płakałem tak długo, aż w końcu zrobiło mi się niedobrze. Ludzie stwierdzili, że nie powinienem być jednak jeść śniadania.

Chyba mieli rację. Ale potem bardzo ładnie posprząтали mój transporter.

Po jakimś czasie zatrzymaliśmy się, dookoła były drzewa, ale psa – żadnego... Oczywiście za wyjątkiem tego, który jechał w drugim transporterze. Był to młodziutki, mały, senny kundelek, który kompletnie nie miał ochoty na rozmowę. Zwyczajnie sobie spał! Tak jakby wyciąganie psa z klatki i wiezienie go nie wiadomo dokąd było czymś absolutnie zwyczajnym! I nawet mi się nie przedstawił.

Gdy na postoju otworzyli mój transporter, wyskoczyłem z niego jak z procy, chcąc uciec i poszukać drogi do domu, do Erki. Miałem jednak na sobie te całe szelki, i już prawie udało mi się z nich wyjąć łapy i uciec, gdy ludzie to jednak zobaczyli i założyli je trochę ciaśniej. Wtedy już nie dało się z nich wyskoczyć...

Nie znałem tutejszych zapachów, drzewa pachniały obco, całe otoczenie było jakieś... no, nie takie, jak powinno. Z podkulonym ogonem ledwo przykucnąłem i zrobiłem siusiu, po czym posłusznie wróciłem do samochodu.

Potem nawet zasnąłem, chyba na krótko... Ale gdy się obudziłem, byłem jeszcze bardziej przestraszony,

gdyż zapachy dobiegające zza okien jadącego samochodu wciąż były obce. Nie takie, które znałem!

Gdzie, gdzie ja byłem? Dokąd oni mnie wieźli...?!

A potem nastąpiło coś absolutnie najstraszniejszego.

Samochód w końcu się zatrzymał, ludzie trochę gada-
li ze sobą, a trochę do takiego małego czegoś, co trzymali
przy uchu.

Dziwni jacyś są.

Ale to wiedziałem już wcześniej.

Najgorsze było to, że gdy w końcu jeden z nich otwo-
rzył transporter i wyprowadził mnie na zewnątrz, pojawił
się jeszcze jeden człowiek. Spojrzałem na niego i zamar-
łem. Dosłownie słabo mi się zrobiło.

Jego oczy były bowiem tak absolutnie niebieskie,
jak... jak... jak u Rambo!!!

Boże mój, psiakość – to jakiś ludzki husky!!! Och,
psia matko...!

Potem jednak troszkę się zdziwiłem. Bowiem ten
Duży podszedł do mnie jak nieznany wcześniej pies, któ-
ry chce się zapoznać. Takim łukiem, trochę z boku. To
mnie troszkę podbudowało. Mimo wszystko skuliłem
się, bo myślałem, że ten ludzki husky też będzie złośliwy
i wredny. A ten – nie! Co prawda trzymał moją smycz, nie
wiadomo więc było, co mu strzeli do głowy. Zaś Duży
usiadł koło mnie na chodniku i zaczął do mnie mówić...!

Było to bardzo nieoczekiwane i zaskakujące. Tym
bardziej, że głos miał taki jakiś miękki, ciepły i wbrew
samemu sobie, wbrew mojemu instynktowi, który kazał
mi uciekać gdzie kości rosną – zacząłem się uspokajać.

Sam nie wiem, jak długo mówił, i nie za bardzo wiem też o czym, ale dziwnie przyjemnie się go słuchało. Często w tym, co mówił, słyszałem moje imię i w jakiś sposób rozumiałem, że Duży w tym momencie całą swoją uwagę poświęca właśnie mnie! A to do tej pory bardzo rzadko mi się zdarzało ze strony ludzi. Gadał tak i gadał, aż w końcu odważyłem się znowu spojrzeć w te strasznie niebieskie oczy. A one wcale nie były takie złe! Tylko nie wiedzieć czemu trochę mokre. Widocznie Duży wymaga naprawy – uznałem rozsądnie. Bo oczy mu przeciekają.

Potem znienacka wstał. No to ja też wstałem, bo Duży nawet pachniał dosyć fajnie. Jakoś tak, jak by to powiedzieć... smakowicie. A najbardziej jego dłonie.

Odsunął się trochę, ale chciałem, żeby znowu zaczął opowiadać. Więc przysunąłem się do niego, choć ciągle trochę się bałem. Zrobił krok do przodu, a wtedy ja też! Sam nie wiem, co przewyciężało mój strach: ten smakowity zapach czy ten głos? A może to, że jego emocje pachniały prawie tak samo jak moje? Trochę strachu, trochę oczekiwania, obawa, ale i nadzieja, że wszystko skończy się dobrze.

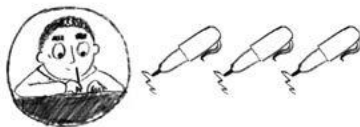
Ech, bo ludzie najwyraźniej nie wiedzą, że każde uczucie ma swój zapach! Gdy ktoś się boi, pachnie inaczej. Gdy jest szczęśliwy – też inaczej. I tak dalej...

Gdy ruszył przed siebie, podreptałem za nim.

Husky, nie husky, ale wiedziałem już, że moja Erka jest gdzieś bardzo daleko. I zaczynałem rozumieć, że nie wrócę do domu.

A Duży, być może, nie zrobi mi krzywdy...?

Pierwsze dni: zupełnie nowy świat!



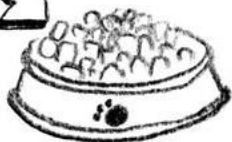
Przytomnie pamiętałem, że psu nie należy zbyt gwałtownie zmieniać karmy. Więc jeszcze zanim zszedłem po niego na dół, do miski wsypałem tylko troszkę tej nowej, ponoć wspaniałej, zaś gdy weszliśmy do domu, dosypałem mu tej, którą dostałem od Ani. Elf tymczasem zdążył powolutku, nieśmiało obejść całe – nie aż tak duże, bądź co bądź – mieszkanie, obwąchać parę rzeczy, ale gdy tylko usłyszał dźwięk granulek sypiących się do miski, od razu zjawił się w kuchni. A potem po prostu POŻARŁ w ciągu kilku sekund całą jej zawartość.

– No tak – rzekłem ze zrozumieniem. – Długa podróż robi swoje. Zgadza się?

Spojrzał na mnie pytająco, napił się wody i dyskretnie beknął. Boże, co za pies...!

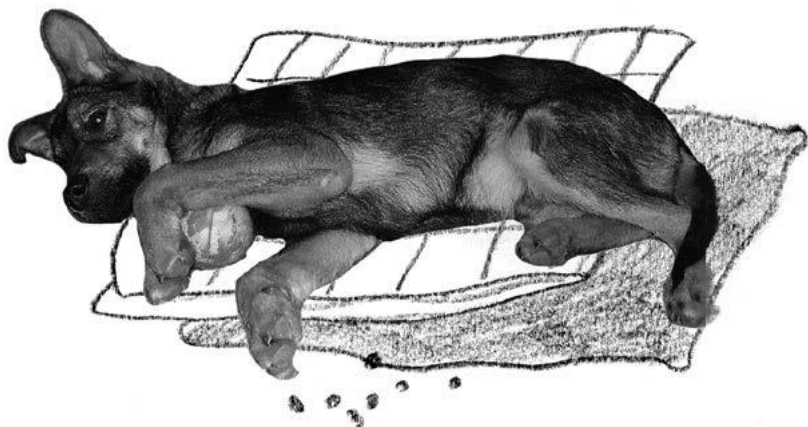
Potem rozścieliłem w nowym legowisku jego kocyk, również otrzymany od Ani. Poślanie – kupione przez Młodego – było naprawdę fajne, wyglądało na wygodne, choć osobiście tego nie

Wcześniej



Teraz





sprawdzałem. Kocyk zaś Elf znał, pachniał mu znajomo i miałem nadzieję, że pomoże psiakowi w zaadaptowaniu się do nowego miejsca.

Pierwsze siusiu zrobił niedługo potem na płytkach w przedpokoju. Spodziewałem się tego w sumie i nie było to dla mnie niczym strasznym; odnotowałem tylko, że Elf jeszcze nie podnosi przy siusianiu nogi, ale załatwia się jak szczeniak – kucając. Spokojnie, nauczy się wszystkiego!

Spray czyszczący i ręczniki papierowe, przygotowane na wszelki wypadek, okazały się bardzo przydatne. Ha, jaki ja jestem mądry!

– Dlaczego pełnasz? – odezwał się Młody od drzwi. Nawet nie zauważyłem, że wszedł! Oczy mu błyszczały i rozglądał się gorączkowo. Ja zaś, ze swojego miejsca, widziałem kątem oka, że Elf – słysząc nowy głos – z podkulonym ogonem umknął na swoje legowisko i wtulił się w kocyk.

– Siusiu zrobił – bąknąłem, podnosząc się z klęczek. – Normalne w sumie. Gdy mnie nie będzie, to ty będziesz sprzątał, zrozumiano?

– Boże...! – wyrwało się Młodemu i aż cofnął się o krok. – No dobra. Gdzie on jest? Zna już dom? Skoro tu sika, to pewnie zaznacza swój teren. Mądry pies. No, to teraz chcę go poznać!

Wparował do mojego pokoju, zobaczył psa i momentalnie się nad nim schylił, chcąc go pogłaskać i chyba przytulić. Odpowiedzią było warknięcie i kłapnięcie zębami w powietrzu. Młody odskoczył i wytrzeszczył oczy.

– Normalna reakcja – odezwałem się spokojnie. – Młody, spokojnie! Za szybko chcesz to wszystko zrobić, jest parę etapów, których nie da się przeskoczyć. Widzi cię przecież pierwszy raz w życiu. Za parę dni będzie leżał przed tobą na plecach, zobaczysz!

– Ale że chciał mnie ugryźć?! – jęknął Młody. – No, jak to?!

– Nie chciał cię ugryźć – roześmiałem się. – Tyle że kompletnie cię nie zna! Choć przysięgam, że dałem mu do powąchania twoją koszulkę! To było więc tylko małe ostrzeżenie. Postaw się na jego miejscu i wyobraź sobie, że podchodzi do ciebie obcy facet i z miejsca próbuje cię przytulić i pogłaskać. Co byś zrobił?

– Zadzwońiłbym po policję! Jeszcze tego tylko brakuje, by jakiś obcy facet próbował mnie głaskać. Zwariowałeś?

– Więc powinieneś go rozumieć – rzekłem stanowczo. – Po prostu daj mu czas przyzwyczaić się do nas i do nowego miejsca. To trochę potrwa!

– Ty też go nie głaskałeś?

– Nie – pokręciłem głową. – Gdy sam do mnie przyjdzie, wtedy go pogłaszczę. Dobrze ci radzę, postaraj się być cierpliwy...



Ach, więc tak wygląda „mieszkanie”!

Schody były czymś dziwnym, ale dałem sobie na nich radę bez problemu. Taka górka, tyle że w kawałkach. Chyba po to, żeby ludziom było wygodniej.

Najlepsze było jednak to, że prawie zaraz dostałem jeść! Część smaku była znajoma, ale część – zupełnie nowa. I smaczna! Prawie zupełnie tak, jak tamta ryba, którą złowiłem jakiś czas temu. To właśnie ten zapach czułem na dłoniach Dużego, ha! Widocznie już wcześniej wiedział o tym, że mnie zabierze do tego mieszkania. Hmm, czy to oznacza, że on chce, by go oswoić...?

Trzeba będzie to przemyśleć.

Na razie nie miałem na to ani czasu, ani siły. Nie wiedziałem, czy mam ochotę oswajać Dużego; najpierw trzeba będzie obwąchać całe to mieszkanie. Niczego, niczego tu nie znałem! O ile fajniej by było, gdyby była tu ze



mną moja kochana Erka... A ona, biedulka, została gdzieś tam, daleko i pewnie martwiła się okropnie, nie wiedząc, co się ze mną dzieje.

W dodatku mieszkanie pachniało nie tylko Dużym, ale i kimś jeszcze. Tyle że tego kogoś tutaj nie było. Ani w żadnym z „pokojów”, ani w „szafie”, ani w „kuchni”, ani w tym dziwnym miejscu, które Duży nazwał „łazienką”. Bo chodził za mną krok w krok i mówił mi, jak nazywają się te miejsca. On jest jakiś dziwny. Chodzić za psem i mówić mu o wszystkim? O takim człowieku jeszcze nie słyszałem, nawet w opowieściach Tofika!

Westchnąłem ciężko i uznałem, że najwyższy czas oznaczyć to moje nowe miejsce. Zaraz potem pojawił się Duży, psiknął czymś ostro pachnącym i dokładnie wytarł to, co zrobiłem. Takimi dziwnymi, białymi kawałkami oddartymi z dużej rolki. Zastanowiło mnie to nieco. Czy to oznacza, że ludzie wolą, by mieszkanie pachniało tak, jak oni chcą? Bo u nas, w schronisku, nikt nie wycierał ziemi tam, gdzie zrobiłem siusiu, pachniała tak, jak chcieliśmy.



Widocznie to mieszkanie rządzi się jakimiś innymi zasadami. Trzeba będzie uważać na te całe „ręczniki” z rolki.

Kolejny temat do przemyślenia, o psiakość...!

Znowu jednak nie miałem czasu na żadne przemyślenia, bowiem znienacka w mieszkaniu pojawił się ktoś jeszcze. Trochę mniejszy od Dużego, który mówił do tego mniejszego „Młody”. Może być Młody, mnie tam wszystko jedno. Pachniało od niego wysiłkiem – na pewno wcześniej dużo biegał albo skakał, to wyczułem wyraźnie, bo ten zapach dobrze znałem. Ale ponadto bardzo wyraźnie czułem jego emocje – ciekawość, lekkie zaniepokojenie i coś jeszcze, co nie bardzo mogłem rozpoznać.

Gorsze było to, że prawie zaraz po przyjściu dopadł mojego posłania i wyciągnął do mnie ręce! A skąd ja niby miałem wiedzieć, co zamierza zrobić?!

Warknąłem więc ostrzegawczo i kłapnąłem zębami. Nie po to, by ugryźć, oczywiście, bo Młody nie pachniał agresją. Tylko po to, by trochę go ostrzec. Naprawdę, miałem już dość tego dnia i chciałem zwyczajnie, spokojnie pójść spać. A ten od razu z łapami...!

W dodatku oczy miał tak samo okropnie niebieskie jak Duży! Może też byli rodzeństwem tak jak ja i Erka?

Skoro byli tak podobni do siebie, to coś w tym musi być. Bo i pachnieli podobnie. Jak rodzina.

Przemyślę to jeszcze, ale to już jak się obudzę... Ziewnąłem szeroko, oparłem głowę na łapach i w końcu zasnąłem. Czujnym, przerywanym, niespokojnym snem.



Poprzedniego dnia, gdy Elf do nas przyjechał, uznałem – mam nadzieję słusznie – że późna wieczorna pora i moc nowych wrażeń usprawiedliwia fakt, iż nie wyszedłem z nim od razu na spacer. Potem jednak, jakoś po północy, gdy Młody już słodko spał, a ja siedziałem przed komputerem, usiłując skupić myśli i napisać nowe opowiadanie do zamówionego przez wydawnictwo tomiku – psiak nagle obudził się, wstał i zapiszczał.

– No co? – spytałem przyjaźnie, odwracając się na obracany fotelu. – Znowu chcesz jeść? Nie, to dopiero rano...

Ogon ciągle miał pod brzuchem. Wiedziałem już doskonale, że to znak, iż jest zagubiony w nowym otoczeniu i trochę się boi.

No trudno, może to właśnie czas, by skoczył na głęboką wodę?

Bardzo spokojnie wstałem, założyłem bluzę, wziąłem smycz i podszedłem do niego. Swoim sposobem, lekko z boku. Skulił się, ale nie uciekł. Przypiąłem smycz do obroży, której do tej pory nie próbowałem mu zdejmować, po czym włożyłem buty.

Wszystko robiłem po cichutku, by nie obudzić Młodego, który z tego wszystkiego aż zostawił otwarte drzwi do swojego pokoju, gdyby Elf – jakimś cudem – postanowił wleźć mu do łóżka i z nim spać. Psiak stanowczo wołał jednak swój kocyk.

– Elfie, idziemy? – rzekłem zachęcająco.

Wiedziałem już od Ani, że te słowa doskonale rozumiał. I faktycznie! Oczy mu się lekko zaświeciły, podniósł się z podłogi i spojrzał na mnie wyczekująco.

– Aha, czyli idziemy! – ucieszyłem się.

Zrobiłem krok w kierunku drzwi, a Elf szedł za mną jak cień. Ogon wciąż miał podkulony, ale to było już dla mnie zrozumiałe. Trzeba mu czasu.

Noc była pogodna, przepiękna. Duże osiedle na peryferiach Wrocławia o tej porze wręcz pachniało ciszą i spokojem. Tylko gdzieś tam w okolicznych blokach świeciły się światła w pojedynczych oknach.

Chciałem pójść na króciutki spacer, by Elf tylko się załatwił, ale tak jakoś wyszło, że poszliśmy znacznie dalej. Psiak z zaciekawieniem obwąchał wszystkie okoliczne słupki, znaki drogowe, drzewa i krzaki. Wyraźne



zainteresowanie wzbudził w nim śmietnik, ale stanowczo powiedziałem: „Zostaw!” – na co zostałem uraczony pełnym urazy spojrzeniem.

Ale, pomimo prawie godzinnego spaceru, ciągle szedł z ogonem pod brzuchem i nie zrobił na trawniku niczego, mimo iż miałem w pogotowiu foliowy woreczek na taką okazję. Trzeba przecież przestrzegać przepisów, prawda?

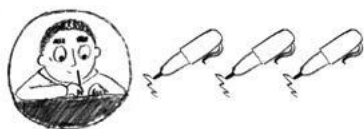
Za to po powrocie, w nocy, pokazał, że jest sprawiedliwy. W moim pokoju nasikał, w pokoju Młodego walnął zaś kupę.

– Czy to coś oznacza? – spytał cierpko Młody o trzeciej nad ranem, sprzątając.

– Nie mam pojęcia – rzekłem z uciechą, bo miałem trochę mniej sprzątanego niż on. – Ale na pewno w ten sposób jakoś cię wyróżnił!

Chyba chciał odpowiedzieć jakimś zjadliwym tekstem, ale nagle po prostu się roześmiał. Po czym znie-nacka wyciągnął dłoń i pieszczotliwie pogłaskał Elfa po głowie. A on nie odsunął się, nie zawarczał, po prostu nic! Tylko siedział i aż przymknął na moment oczy.

Weterynarz, czyli pewne sprawy, których uniknąć się nie da



Schodząc z Elfem po schodkach prowadzących do suterenu, w której mieścił się polecany przez wszystkich moich znajomych gabinet weterynaryjny, miałem pewne obawy. Pies jednak tylko sprawdzał co chwilę, czy jestem blisko, a wtedy był całkiem spokojny.

Lekarz okazał się przesympatycznym facetem mniej więcej w moim wieku. Wysłuchał historii Elfa, pokiwał głową, po czym rozpoczął oględziny i wywiad medyczny. Psiak zaczął się wiercić, więc kucnąłem przy nim, położyłem mu dłoń na karku i wtedy momentalnie się uspokoił.

– Długo jest u pana? – spytał weterynarz.

– Trzy dni – odparłem z pewną dumą.

Boże, od trzech dni mam psa...! Ale fajnie!

Najwyraźniej trochę go to zdziwiło.

– Pięknie się pana trzyma! – rzekł, unosząc brwi. – No dobrze, teraz sprawdzimy, co u niego.

Gdy termometr znalazł się tam, gdzie powinien, Elf lekko wytrzeszczył oczy, spojrzał na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, ale podrapałem go za uchem i znowu się uspokoił.



– Ja tu nie widzę niczego niepokojącego – oświadczył w końcu lekarz. – Jasne, że trzeba go trochę podtuczyć, przestrzenie międzyżebrowe nie są co prawda puste, ale stanowczo trzeba go przestawić na lepszą karmę. Musi набrać wagi. Szesnaście kilo to trochę zbyt mało przy jego budowie ciała. Nie przechodził przypadkiem parwo-wiroy jako szczeniak?

Obiecałem spytać o to dotychczasowych opiekunów. Potem wymienilem nazwę karmy, na którą przestawiałem akurat Elfa. Weterynarz roześmiał się i ponownie uniósł brwi, po czym poczochnął Elfa po grzbiecie.

– Widać, że komuś tu na tobie bardzo zależy – rzekł do niego z humorem. – Dobrze trafiłeś, młodziaku! Nie każdy dostaje takie smakołyki.

Potem jednak trzeba było zrobić zastrzyk, nie pamiętam już na co, oraz podać Elfowi coś na odrobaczenie. Mimo iż tabletki zawinięta była w smakowicie wyglą-

dający przysmak, Elf długo mlaskał i się krzywił. Przy zastrzyku pisnął i zerknął na mnie z wyrzutem, aż mi się głupio zrobiło. No proszę – pies mi ufa, wierzy, a ja go przyprowadzam w takie straszne miejsce...!

Dostaliśmy jeszcze piękną książeczkę zdrowia, pan doktor zaznaczył w niej terminy obowiązkowych szczepień, po czym wyszliśmy z zaleceniem, że za trzy dni mamy stawić się na kontroli.

– Dasz radę – oznajmiłem Elfowi już na trawniku. – Przeżyłeś, widzisz? Dzielny facet z ciebie!

Elf kichnął, otrząsnął się ze wstrętem, po czym zainteresował się czymś dziwnym, co leżało pod krzakiem. Woląłem, by się tym nie interesował, więc poszliśmy w drugą stronę.



Już schodząc po tych schodach, miałem złe przeczucia. Zapach był podobny do tego, jakim pachniał w schronisku jeden taki człowiek. Gdy się pojawiał, bez pardonu zaglądał nam w zęby, macał, oglądał z każdej strony, a czasem – o zgrozo! – robił coś, co inne psy nazywały „zastrzykami”. Paskudztwo, no mówię wam!

No i dobrze mi się zdawało. Człowiek w środku był miły, ale i tak miałem ochotę uciec. Tyle że Duży był tu ze mną. Gdybym uciekł, ten człowiek mógłby zacząć oglądać Dużego, a jeszcze – nie daj Boże – zrobiłby mu jakiś zastrzyk?! I co wtedy? A tak prawdę mówiąc, to może

bym i uciekł, ale smycz była na swoim miejscu. Westchnąłem ciężko i usiadłem na płytkach.

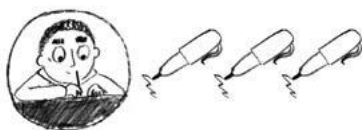
I wtedy się zaczęło.

Zostałem obmacany, zajrzano mi w zęby, czymś dziwnym szurano mi w ucho, a potem – ratunku! – poczułem, że ten okropny człowiek wsadza mi coś w pupę!!! Termometr czy nie termometr, nie podobało mi się to! Na szczęście Duży był tuż obok, czułem jego zapach i dotyk jego dłoni i jakoś mnie to uspokajało. Przełknąłem więc tylko ślinę i marzyłem, by wreszcie stąd wyjść. Może ten drugi nie pomyślał o żadnych zastrzykach?

Niestety, pomyślał. Zniosłem i to – no trudno. Ludzie są dziwni, że lubią robić psom takie rzeczy.

Dobrze, że Duży nie ma w domu tych różnych „strzykawek” i innych strasznych przedmiotów. Obwąchałem wszystkie szafki, więc jestem tego pewien. Jedna z szafek od wczoraj pachnie wyjątkowo smakowicie. Ciekawe, co on w niej trzyma?

Do kogo ja trafiłem?!



Nie da się ukryć, że ten pierwszy tydzień spędzony z Elfem był dla nas dość pracowity. Psiak uparcie wzbra-
niał się przed tym, by załatwiać się na trawnikach. Może

ze trzy razy to zrobił, ale był wtedy wyraźnie niespokojny. Weterynarz tłumaczył mi to psychologicznie: pies załatwia się wtedy, gdy czuje się bezpiecznie. Widać trzeba mu czasu, by uznał to nowe otoczenie za przyjazne, a dom z tego wszystkiego jest jego jedyną ostoją. Tu dostaje jeść, tu śpi...

– No dobra, psie – mruknąłem do speszzonego jakby Elfa, gdy zrobił kolejne siusiu na kafle w przedpokoju. – Jakoś damy radę. Ale mógłbyś trochę szybciej polubić trawniki. Obiecuję ci, że żadna żarłoczna dżdżownica nie ugryzie cię w tyłek. Co ty na to?

W odpowiedzi zainteresował się klapkiem Młodego, udając, że mnie nie słucha. Doskonale jednak widziałem, że jego wielkie uszyska podrygują przy każdym moim słowie. No proszę, zupełnie jak mój syn!

Dziękowałem współczesnej cywilizacji za takie wynalazki jak ręczniki papierowe w rolkach. Okazały się nieocenionym narzędziem do uprzątnięcia Elfowych wybryków! Do tego spray dezynfekujący i jakoś dawałem radę.

Z pobliskiej stacji benzynowej od przesympatycznej starszej pani z obsługi dostałem cały stos jednorazowych, plastikowych rękawiczek, używanych przy nalewaniu benzyny. Gdy zobaczyła Elfa, rozczuliła się bardzo, wdała się ze mną w rozmowę, a gdy usłyszała jego historię – po prostu pokochała go całym sercem. W prezencie dostał nawet kielbaskę do hot dogów! Wiedziałem, że nie bardzo powinien to jeść, ale z westchnieniem pozwoliłem na ten wyjątek od reguły.

Te plastikowe rękawiczki też okazały się przydatne. Szczególnie Młody się ucieszył, bo z jakichś dziwnych powodów miał niechęć do sprzątania „tych” rzeczy.

– Mieliśmy się dzielić obowiązkami, pamiętasz? – wytknęłam mu w pewnej chwili. – A ty, gdy tylko zobaczysz, że coś takiego się dzieje, to albo od razu pilnie musisz się uczyć albo równie pilnie wychodzisz, albo jeszcze pilniej udajesz, że śpisz.

– Nie udaję! – oburzył się Młody, gwałtownie się czerwieniąc. – O co ty mnie posądzasz?!

– Nie udajesz, okej – zgodziłem się posłusznie. – A dźwięk klawiszy telefonu spod kołdry to pewnie załuga roztoczy. Piszą do siebie esemesy i wymieniają się poglądami, w którym łóżku jest fajniej.

Młody wtedy zamilkł, odebrał mi ręczniki i spray, po czym sam pięknie posprzątał do końca.

Ha!

Wieczorem, jak zwykle, poszedłem biegać. Od jakiegoś już czasu kultywowałem te wieczorne przebieżki, bo, po pierwsze, pisanie książek oznacza raczej siedzący tryb życia, po drugie zaś uznałem, że najwyższy czas rzucić trochę brzuszka. Młody uparcie namawiał mnie na siłownię lub basen, jednak basen odpadał ze względu na chlorowaną wodę, po której zawsze miałem wysypkę, siłownia zaś to nie było miejsce, w którym się widziałem. Pozostawały wieczorne biegi. Bardzo je lubiłem.

Tym razem wieczór był okrutnie duszny. Do domu wróciłem zmachany, a głowę miałem tak mokrą od potu, że wyglądałem, jakbym dosłownie wyszedł spod prysznica. Zrzuciłem koszulkę, chwyciłem rolkę ręczników i zaczą-

łem wycierać włosy. Kątem oka podchwyciłem wzrok Elfa, który siedział w drzwiach, wpatrzony we mnie okrągłymi oczami, z lekko uchyłonym pyskiem, wyrażającym... sam nie wiedziałem co. Zgrozę? Niesmak? Zdumienie?

Kilka razy zamrugał oczami, przyjrzał mi się raz jeszcze, przekrzywił głowę w prawo, w lewo, aż w końcu prychnął i poszedł do pokoju Młodego.

O co mu chodziło, u licha?!



Jeszcze w schronisku Tofik uprzedzał mnie, że ludzie mają swoje rozmaite, niekiedy dziwne, zwyczaje i obyczaje. Na pewno nie o wszystkich zdążył mi opowiedzieć, tego byłem pewien. No i masz ci los, dziś przekonałem się, co wyprawia ten mój Duży!

Od niedawna zacząłem rozumieć, że zależy mu, bym robił siusiu i te inne rzeczy poza domem. Może i ma rację, bo w sumie głupio tak mieszkać, gdy obok leży kupa. I kolejna, i kolejna. Duży to wszystko sprząta, ale ja jakoś nie mogę się przekonać, że tam, na zewnątrz, nikt mnie znienacka nie napadnie. Wszędzie czuję zapach innych psów! A nie znam ich przecież, nie wiem, czy któryś nagle nie skoczy mi na plecy i w ogóle. Co prawda Duży zawsze jest obok, ale nie wiem, czy w takiej sytuacji by mnie obronił. Jeszcze aż tak chyba go nie wychowałem i nie oswoiłem.

No, wszystko w swoim czasie.

Duży to spryciarz – ma takie fajne coś, takie białe kawałki, które odwija z rolki, wyciera, a po chwili podłoga

jest czyściutka. Mówi na to „ręczniki”. Nieważne, jak się nazywają, ważne, że to działa! Czasem nawet i Młody robi to zamiast niego – najczęściej używa ręczników, gdy zrobię siusiu. Ale ja dużo rozumiem! Teraz już wiem, że ręczniki służą do wycierania siuszków. O!

Dziś jednak stało się coś strasznego, co trochę odmieniło moje zdanie o Dużym. Wieczorem wyszedł z domu, tak jak to robił każdego dnia. Potem zawsze wracał po jakimś czasie, spocony, i szedł do tego dziwnego miejsca zwanego „łazienką”, gdzie udało mi się zająrzeć może ze dwa razy. Ale dzisiaj Duży był całkiem mokry! Głowę miał tak wilgotną, że aż ciekło mu spomiędzy sierści – no, oni mówią na to „włosy”.

I co zrobił Duży? WZIĄŁ RĘCZNIK I WYTARŁ GŁOWĘ!!!

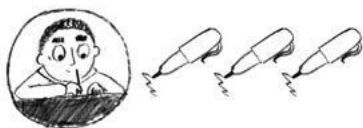


Nie wiem już sam, co mam o tym myśleć. Bo skoro ręczniki służą do wycierania siuszków, a Duży wraca z podwórka i wyciera nimi mokre włosy, to wniosek jest jeden.

Psiakość – Duży siusia sobie na głowę....!

Do kogo ja trafiłem?!...

Sposób na Karę, czyli co tu zrobić?



– A jak tam twoja znajomość z Lindą? – zagadnąłem Młodego przy śniadaniu. – Dalej wychodzi z Karą na spacer? Widujesz ją?

Młody wytrzeszczył oczy i wybuchnął takim śmiechem, że opluł jajecznicą mnie, blat stołu i podłogę. Podłoga już po chwili była czysta, bowiem Elf, leżący u moich stóp, momentalnie zainteresował się przysłowiową manną z nieba. I najwyraźniej mu smakowało.

– Możesz na przyszły raz nie pluć mi prosto w oko? – zażądałem ponuro, odkładając serwetkę. – Poza tym nie należy karmić psa. Nawet plując jedzeniem. Nie wiem, co takiego śmiesznego powiedziałem, ale...

– Pomyliłeś je – zachichotał Młody, ocierając oczy. – Dziewczyzna to Kara, a Linda to pies!

– A ja powiedziałem odwrotnie? – zdumiałem się, smarując tost masłem. – Naprawdę?

Młody zadumał się, nagle spowaźniał i przyjrzał mi się uważnie.

– Ty za rok kończysz czterdziestkę, no nie? – rzekł dość niespokojnie i podrapał się po głowie. – Słuchaj, kiedy ostatnio robiłeś sobie jakieś badania? No wiesz, na alzheimera, prostatę, takie tam...

– Odczep się! – rozzłościłem się, machając tostem. – Żeby nie powiedział głośno, kto od paru dni ciągle szuka swojego nunchaku! I ciągle znajduje je tam, gdzie kompletnie nie powinno go być!

– To na pewno Elf wynosi...! – próbował się bronić Młody.

– Jasne! – burknąłem. – Wkłada je do kieszeni twojej drugiej kurtki, a potem zamyka jeszcze drzwi od szafy, tak?!

– Oj tam, oj tam – mruknął Młody, nagle pokorniejac. – No dobra. Trzy razy jeszcze widziałem tę Karę, ale była bez psa. I nie było jak zagadać.

– A ty byłeś z psem?



– Raz tak. Ale wtedy ona szła z jakąś koleżanką i w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi.

Zamyśliłem się. Znałem mojego syna i widziałem wyraźnie, że owa Kara trochę zawróciła mu w głowie. Wolałem się jednak nie wtrącać w jego sprawy, szczególnie sercowe, jeśli sam mnie o to nie poprosi. Westchnąłem więc głęboko, pokiwałem głową i wróciłem do swojego tost.

Zapadła cisza.

– Aha, więc zamierzasz tak to zostawić? – spytał zimno Młody, patrząc na mnie z oburzeniem. – Nie pomożesz mi?

– A potrzebujesz pomocy? – szeroko otworzyłem oczy, jednocześnie zaskoczony i ucieszony. – Naprawdę?

– Ktoś, kto jest autorem książki *Licencja na zakochanie*, powinien umieć pomóc własnemu dziecku – oświadczył posępnie. – Ale, jak widać, rodzice teraz są jacyś dziwni. Dziecko potrzebuje pomocy, jest załamane, lada chwila wpadnie w depresję na skutek nieodwzajemnionego uczucia, a ty...?

Po chwili obaj śmialiśmy się jak wariaci, klepiąc się po plecach. Uwielbiałem te nasze pogawędki, bo obaj mieliśmy identyczny dystans do samych siebie.

– No dobrze – wykrztusiłem w końcu, ocierając łzy ze śmiechu. – Mamy wolny wieczór, wymyśliśmy plan!

#historia pewnej róży, czyli całkowita katastrofa



Plan był gotowy.

– Nie urwie się? – pytał nerwowo Młody, niemalże obwąchując uprząż i szelki.

– Nie urwie – rzekłem ze spokojem. – Sam w tym zwiisałem, i to nie nad pięciometrową przepaścią, a nad osiemdziesięciometrową!

– Ale ja trochę urosłem, ważę już ponad pięćdziesiąt kilo!

– A ja ważyłem wtedy dziewięćdziesiąt!!!

Młody zerknął na mnie z nagłym respektem, sprawdził okręconą wokół komina pętlę, zaczepy, haki, szelki, linę, aż w końcu wyprostował się i zaświecił mi w oczy zamocowaną na czole lampką.

Był bowiem środek nocy.

Konkretnie – trzecia nad ranem. A my siedzieliśmy sobie na dachu naszego bloku.

– Powiedz mi jedno – mruknąłem z zadumą, opierając się o wywietrznik. – Który inny nastolatek ma ojca, który w środku nocy wlezie z nim na dach i spuści syna na linie, by ten mógł przykleić świeżą różę do okna swojej wybranki? No?

– Mówisz to celowo, tak? – spytał Młody sceptycznie. – Po to, by wywołać we mnie uczucie, że mam wobec ciebie dług wdzięczności?

– A nie masz? – zdumiałem się, mimowolnie chichocząc. – Więc czemu nie poprosiłeś o pomoc Olka?

– Bo Olek by mnie nie utrzymał – bąknął Młody z brutalną szczerością. – No dobra, niech ci będzie. W razie czego możesz mnie poprosić, o co tylko chcesz. Stoi?

– Stoi – zgodziłem się chętnie, odlepiłem się od wywietrznika i wstałem, sprawdzając, czy grube rękawice umożliwiają mi swobodne poruszanie palcami. – No, to do roboty!

Różę Młody wybrał samodzielnie. Niedaleko, obok poczty, stała niewielka, ale bardzo fajna kwiaciarnia, w której było wszystko. Ja akurat wybrałem coś w doniczce, co potem okazało się amarylisem, zaś Młody – zgodnie z zamierzeniami – od razu skierował się w stronę wiader z różami i wybrał absolutnie najpiękniejszą ze wszystkich! Purpurową niczym najkrwawszy zachód słońca, świeżą niczym poranna rosa, pachnącą jak ogrody Edenu...

Aż sobie to wszystko zapisał, gdy piałem moje zachwyty, oglądając różę w domu. Nie ukrywam, że zrobiło mi się miło.

Zakup był całkiem prosty, teraz jednak czekała nas nieco trudniejsza część zadania.

Kara z rodzicami mieszkała na pierwszym piętrze naszego dwupiętrowego budynku. Łatwo było to stwierdzić, bo nie dalej jak wczoraj – jak twierdził Młody – siedziała z koleżanką w oknie, którego poło-



zenie oczywiście bezbłędnie zapamiętał. Poprosiłem go tylko wtedy uprzejmie, by zachował rozsądek i zbyt często nie gapił się w to okno, bo jeszcze – nie daj Boże – jej rodzina posądzi go o prześladowanie córki. Takie teraz durne czasy, nie da się już stać z różą w zębach i śpiewać serenady pod oknem wybranki. Od razu zjawia się straż miejska lub policja i zabiera amanta do radiowozu.

By róża znalazła się na swoim miejscu, mieliśmy do wyboru: przytargać pod blok drabinę lub opuścić się z góry na linie. Rozsądnie uznaliśmy, że drabina i dwóch typów w bluzach z kapturami rzucą się w oczy każdemu przechodzącemu nocą przechodniowi, wybraliśmy więc opcję numer dwa. Stosowny ekwipunek miałem jeszcze z dawnych czasów, zanim bowiem zostałem pisarzem, pracowałem w rozmaitych dziwnych instytucjach. Chyba tylko przez głupi sentyment nie wyrzuciłem pozostałych z tamtych czasów rzeczy. Teraz zaś okazało się, że bycie sentymentalnym przydaje się niekiedy, no proszę! Wcześniej tylko starannie upewniłem się, czy wszystko działa, liny nie sparciały, a zaczepy nie przedziewiały. Wszystko było w świetnym stanie! Zadbaliśmy nawet o to, by buty Młodego były idealnie czyste, aby nie zostawił śladów butów na jasnej ścianie budynku, gdy będzie opuszczał się w dół.

Chwyciłem mocno linę, Młody przewinął się przez krawędź dachu, a chwilę później poczułem, jak lina się napręża. Komin zatrzeszczał leciutko, ale był solidny, więc wytrzymał. Oczywiście też byłem do niego przypięty, by nie zlecieć na głowę z wysokości dwóch pięter.

Noc była cudowna, cicha, a niebo przepięknie usiane gwiazdami. Zawsze miałem lekkiego hopla na punkcie kosmosu, gwiazd, innych planet, więc oczywiście wołałbym teraz patrzeć w niebo i wypatrywać meteorów. Aktualne zadanie było jednak dużo ważniejsze. Ostrożnie popuszczałem linę, aż w końcu z dołu dobiegło mnie przenikliwe syknięcie. Przestałem opuszczać Młodego i trzymałem mocno, czekając, aż przyklei różę do okna przy pomocy przygotowanego wcześniej kawałka taśmy.

Lina drgała, okręcała się i w ogóle zachowywała się dziwnie. Nie należało jednak wołać do Młodego i pytać, co on tam wyrabia, bo wiedziałem doskonale, że nocą wszystkie dźwięki rozchodzą się znacznie dalej. Czekałem więc cierpliwie. W końcu poczułem dwukrotne szarpnięcie, co oznaczało, że mam ciągnąć. Więc pociągnąłem...

Nie dalej jak trzy sekundy później z dołu dobiegł jakiś podejrzan, trzeszczący dźwięk i zdławiony okrzyk. W przekonaniu, że ktoś otworzył okno i porywa mi syna, pociągnąłem gwałtowniej, czując zarazem jakiś niespodziewany opór. Szarpnąłem z całej siły, Młody wrzasnął rozpaczliwie, nie bacząc na nocną porę, a dziesięć sekund później jego rozwichrzona czupryna wyłoniła się zza krawędzi dachu.

– Coś ty zrobił najlepszego...! – zdążył wysyczeć zjadliwym szeptem, dziwnie pospiesznie ściągając bluzę. Przyjrzałem mu się uważniej i zamarłem. Mój syn pozbawiony był bowiem całkowicie dolnych części garderoby, czyli krótkich spodenek oraz bokserek, a teraz w panice

owijał się bluzą z kapturem, ukrywając przed światem swoje wdzięki.

– Co... co się stało?! – wybełkotałem ogłuszony i osłupiały, po czym do głowy przyszła mi straszliwa myśl. – Przykleiłeś jej do okna również swoje bokserki?!

– Oszalałeś?! – spojrzał na mnie ze zgrozą, ścigając szelki i błyskawicznie chowając wszystko do plecaka. – Zwijaj tę linę, ale już! Ludzie się pobudzili! Spadamy stąd, zanim ktoś wezwie policję!!!

Istotnie, z dołu dał się słyszeć dźwięk otwieranych okien. Co najmniej kilku! A niech to...!

Kompletnie nic nie rozumiejąc, pomogłem Młodemu spakować cały ekwipunek, potem ostrożnie podeszliśmy do wjazdu dachowego. Ciągłe było otwarte, pod spodem nie było widać żadnego światła, czyli wszystko wyglądało w miarę bezpiecznie.

– Pewnie ludzie pomyśleli, że krzyczał ktoś gdzieś daleko – szepnął Młody z nadzieją, lekko dygocząc i sprawdzając, czy bluza trzyma się jego bioder. – Ale głupio wyszło, niech to szlag! Teraz lepiej będzie, jak tu posiedzimy trochę, niech oni wszyscy znowu pójść spać...

– Coś ty zrobił tam na dole? – spytałem, nie mogąc powstrzymać zaciekawienia. – Gdzie masz bokserki i spodenki?!

– Zostały – odparł Młody ponuro i skrzywił się okropnie. – Jakiś pacan zamontował za oknem antenę kierunkową. Nie wiem do czego. CB-radio albo jakaś inna krótkofalówka, na telewizyjną mi to nie wyglądało. Zresztą tu jest kablówka przecież, no nie?

– Jest – przyznałem mu rację, bowiem sam parę dni temu podpisywałem umowę na kablówkę i internet. – I co, na antenie się urwało...?

– No, na antenie! – warknął wściekle, miotając się nerwowo. – I co ja mam teraz zrobić?!

– Przecież nie zapukasz do obcego mieszkania i nie spytasz, czy po nocy nie znaleźli męskich majtek! – popukałem się w głowę. – Nic nie masz zrobić! To znaczy, masz iść spokojnie do domu i się wyspać.

– A bielizna...?!

– Pomyślą, że wiatr przywiał z czyjegoś balkonu, głowę daję



– odparłem trzeźwo. – No dobra, jutro pojedziemy na zakupy do Factory i kupimy coś nowego. Ja też potrzebuję paru rzeczy...



Rankiem, gdy Młody poszedł już do szkoły, a ja zapiałem Elfowi smycz i wyszedłem z nim na spacer, pies nagle przystanął, uniósł łeb i zaczął węszyć z wyraźnym zaciekawieniem. W końcu usiadł koło mnie i pisnął cienko. Wyraźnie o coś mu chodziło, nie wiedziałem jednak o co.

– No, co jest, Elficzku? – spytałem łagodnie. – Co wywęszyłeś?

Spojrzał na mnie, wstał, pokręcił się w kółko i znieknacka oparł obie przednie łapy na mojej piersi. Po czym znowu pisnął i spojrzał w górę.

Podążyłem za jego wzrokiem i zrobiło mi się słabo.

Tuż przy oknie jednego z mieszkań na drugim piętrze powiewały dumnie, niczym nieduża błękitna flaga, lekko naddarte bokserki Młodego. Krótkich spodenek nigdzie nie było widać, ale to, co zobaczyłem, i tak niemal przypawiło mnie o palpitację serca.

– Idziemy – wymamrotałem, ciągnąc Elfa za sobą, choć ten wyraźnie się opierał, jakby oburzony, że nie zamierzam odzyskać garderoby jednego z domowników. Nagle jednak zamarł, a sekundę później pociągnął mnie gwałtownie w krzaki. Byłem niemal pewien, że wiem, co tam wywęszył, i nie zawiodłem się. Podniosłem krót-

kie spodenki Młodego, pospiesznie ukryłem je pod bluzą i popędziłem w kierunku śmietnika.

To było najbliższe miejsce, za którym dało się ukryć.

Tak czy inaczej Elf kilka godzin później dostał garstkę wątróbki drobiowej, którą – jak już wiedziałem – uwielbiał ponad wszystko.

A niech ma, należy mu się!

Gdzie rosną kietbasy?



Po południu wybraliśmy się do pobliskiego supermarketu. Plan był taki, że Elf zostanie na zewnątrz z Młodym, osuwając się z moją nieobecnością. Jakoś tak się bowiem działo, że pies zaczynał dziwnie reagować na fakt, że nie ma mnie w pobliżu. Wejście do łazienki kończyło się popiskiwaniem pod jej drzwiami, wyjście z domu – rozpaczliwym lamentem, a pierwsza próba spuszczenia Elfa ze smyczy, przeprowadzona wczoraj późnym wieczorem, zaowocowała psim spojrzeniem pełnym niedowierzania i jakby urazy. Potem, pomimo braku smyczy, trzymał się mnie niczym przyklejony, co chwila tylko podnosząc głowę i sprawdzając, czy ten osobnik obok to na pewno ja, a nie ktoś inny.

Cieszyło mnie jednak, że Elf podczas spacerów nie chowa już ogona pod brzuchem. Trzymał go nisko, ow-

szem, ale czasem nawet go zadzierał i machał radośnie, gdy wyczuł lub zobaczył coś wyjątkowo interesującego.

Teraz, gdy wyszliśmy – chyba pierwszy raz? – wspólnie, we trzech, Młody aż wytrzeszczył oczy.

– Zaraz, a co to ma znaczyć?! – spytał z wyraźną pretensją. – Ze mną rano szedł z ogonem przy pępku! I zawsze tak ze mną chodzi! A z tobą idzie i nim macha! Znaczący się ogonem, nie pępkiem! Czemu?!

– Nie wiem – spieszyłem się lekko, po czym w końcu się oburzyłem. – Przepraszam, czy ty masz do mnie o to jakieś pretensje?!

O reakcjach Elfiego ogona podczas spacerów jakoś do tej pory nie rozmawialiśmy, nawet do głowy mi to nie przyszło! Przyszło mi za to na myśl coś innego, ale postanowiłem, że to zrobimy w ostateczności.

Młody nie odpowiedział na moje pytanie, za to wyraźnie nad czymś głęboko myślał, bo pod samym sklepem w końcu się odezwał, w dodatku raczej markotnie.

– Moim zdaniem on przy tobie czuje się bezpieczniej niż przy mnie – rzekł, grzebiąc czubkiem buta w trawie. – Da się to jakoś tak zrobić, żeby ze mną też się tak czuł?

– O Boże – mruknąłem, bo taka interpretacja zachowania psiego ogona jakoś nie przyszła mi do głowy. Jednak to, co powiedział mój syn, miało sens, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Wzięłem głęboki oddech.

– Żaden z nas nie jest specjalistą od takich spraw, no nie? – spytałem, tarmosząc mu czuprynę, na co od razu się zachnął. – Więc skoro się na tym nie znamy, to spytajmy kogoś, kto na pewno powie o tym coś mądrego. Ale

to już jutro, dziś nie zdążymy. Zgoda? Może okaże się, że podziła na niego jakaś nagroda...

– Kara! – szepnął Młody. – Kara...!

Nie spodobało mi się to.

– Żadna kara nie wchodzi w grę! – oświadczyłem stanowczo. W ogóle ta propozycja jakoś nie pasowała mi do mojego syna, z natury raczej łagodnego i skłonnego do szukania kompromisu. – Nie zamierzam karać psa za to, że przy mnie macha ogonem, a przy tobie nie macha! Skąd w ogóle przyszło ci do głowy, by...

– Oszalałeś?! – spojrzał na mnie okrągłymi oczami i popukał się w czoło. – Tam popatrz! Kara! Kara idzie, z Lindą!

Momentalnie mi ulżyło.

– Zacząłem się bać, że wraz z piętnastymi urodzinami zaczynasz przejawiać niepokojące skłonności – mruknąłem przepraszająco. – Swoją drogą, co za dziwne imię! Idziesz z nią pogadać? Weź Elfa, głowę daję, że psiaki się polubią...

– A jeśli znalazła moje spodenki? – spytał nerwowo. – Co wtedy?

– Nie znalazła – mruknąłem ponuro. – Elf rano wywęszył je w krzakach. Zabrałem i uciekłem, zatarłem ślady zbrodni, nie martw się.

Wolałem nie wspominać mu o błękitnej, naddartej fladze powiewającej przy czyims oknie...



Wiem już, że raz dziennie Duży wychodzi z domu i nie ma go przez jakiś czas. To się nazywa „zakupy”. Okropnie nie lubię zostawać w domu sam, w ogóle nie rozumiem, dlaczego on mnie zostawia?! Tym bardziej, że gdy wraca z tych zakupów, to przynosi taką torbę, albo nawet dwie, a w środku ma dużo różnych fajnych rzeczy. Niektóre z nich pachną, co prawda, okropnie – choćby mydło. Albo dezodorant. Paskudztwo! Nie wiem, po co to ludziom, no ale już chyba ustaliliśmy, że oni są dziwni, no nie?

Jednak inne rzeczy pachną dość przyjemnie, zaś kilka z nich – absolutnie wyjątkowo! Na przykład wątróbka. Albo takie długie, dość cienkie coś, nazywają to „kielbasa” albo „kabanosy”. Od razu, gdy tylko to poczuję, to aż ślinka mi cieknie i nie mogę się powstrzymać, by się nie oblizać. Co najmniej kilka razy!

Tofik mówił mi kiedyś, że ludzie jedzą niektóre rzeczy, które rosną na drzewach. Obwąchiwałem więc wszystkie drzewa na tym naszym osiedlu, ale na żadnym z nich nie rośło nic, co przypominałoby kielbasę lub choćby podobnie pachniało. Na jednym były jabłka, ale tylko tyle. Poza tym były jakieś małe i wyglądały na nadjedzone przez ptaki i robaki. Nawet Duży ich nie zerwał z drzewa, a ładniejsze jabłka przyniósł z tego całego „sklepu”. Ja tak sobie myślę, że ten „sklep” to takie miejsce, gdzie rosną różne drzewa, z których można zerwać i jabłka, i jajka, i inne rzeczy. No i kielbasę oczywiście.

Już kilka razy, gdy wyprowadzałem Dużego albo Młodego na spacer, przechodziliśmy obok tego sklepu. I za każdym razem czułem z wnętrza powiew najróżniej-



szych zapachów! Wiele ich tam jest, ale jeden – najważniejszy – wyróżniał się spośród nich zdecydowanie.

KIEŁBASA!!!

A dziś spacer był trochę inny. Pierwszy raz poszliśmy wszyscy razem! I Duży, i Młody, no i ja. Obaj trochę ze sobą pogadali, a następnie – o zgrozo! – Duży zniknął w drzwiach tego sklepu. Beze mnie! No, tragedia! Aż zawyłem... Jednak zaraz potem Młody pogłaskał mnie i poprowadził gdzieś dalej. Uniosłem głowę i zacząłem wąszyć, bo tuż obok, zza krzaków, wyszła ładna sunia, której zapach – głowę dam! – już wiele razy wyczułem koło naszego bloku. Była co prawda większa ode mnie, ale miałem nadzieję, że zechce się ze mną pobawić. Młody zaś przystanął i zaczął rozmawiać z tym człowiekiem,

który ją prowadził. Chwila wystarczyła, bym się zorientował, że to w zasadzie nie człowiek-chłopiec, tak jak Młody, tylko człowieczka-dziewczynka.

Jej sunia nie wykazała jednak najmniejszego zainteresowania moją skromną osobą. Obrzuciła mnie lekko pogardliwym spojrzeniem i mruknęła: „O, kolejny kundel...”, co trochę mnie oburzyło. Poczucie wyższości tak zwanych rasowych psów jest, moim zdaniem, bardzo niesprawiedliwe. Co miałem jednak zrobić? Linda leżała i patrzyła w przestrzeń, Młody rozmawiał z człowieczką (miała na imię Kara, o ile dobrze zrozumiałem), zaś mnie zaczęło się nudzić.

W dodatku zza oddalonych drzwi sklepu ciągle wionęło zapachem kielbasy.

Spróbowałem wyślizgnąć się z szelek – nadaremnie. Czy to z tej, czy z drugiej strony, nie udawało się. Próbowiałem pomóc sobie tylną łapą – nic z tego! Ech, ta paskudna smycz!

Zaraz, smycz...?! Przecież wczoraj wieczorem Duży odpiął tę smycz i mogłem chodzić luzem! Teraz widocznie Młody zapomniał o tym, więc należało zadbać o siebie samego.

Ha!



W koszyku miałem już niemal wszystko: masło, kawę, świeże owoce, biały ser, filety z dorsza i parę innych drobiazgów. Jutro jednakże zamierzałem ugotować

rosół, więc wypadało jeszcze odwiedzić stoisko mięsne. Akurat było przy nim dość pusto, a w dodatku za ladą – ku mojemu zdumieniu – z radością ujrzałem przesympatyczną panią, którą już kilka razy spotkałem na spacerach, gdy wyprowadzała swojego psa!

– Dzień dobry! – przywitałem ją z uśmiechem. – Jak tam Jackie?

– Broi, jak zwykle – odparła pogodnie. – Co mam podać?

– Dwie porcje rosółowe – poprosiłem, nachylając się nad lodówką. – O, może tę i tamtą z lewej...

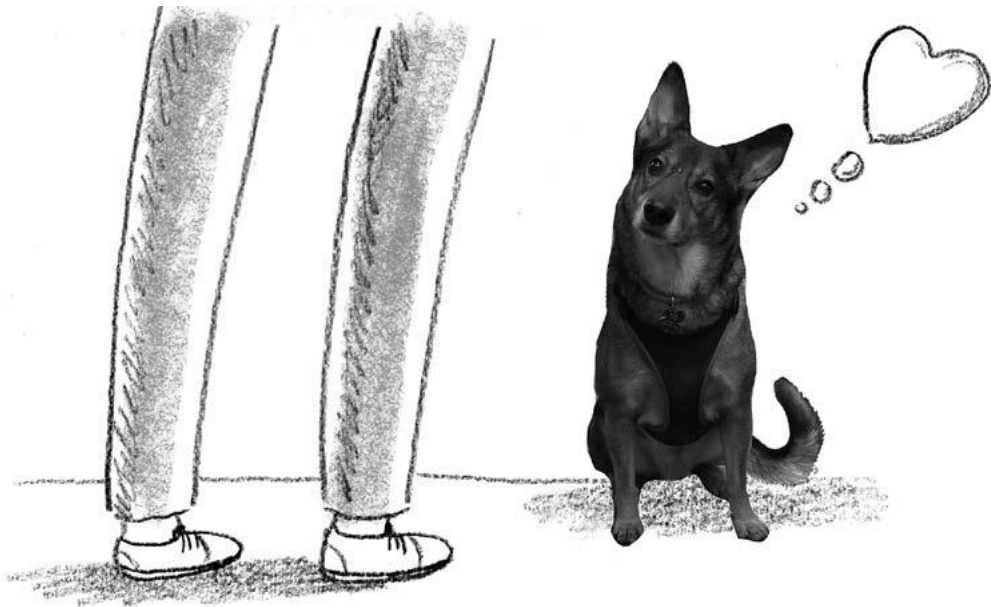
Gdy się nachylałem, kątem oka dostrzegłem coś, co poruszało się przy moich nogach. A zaraz potem to coś oparło się łapami o szybę witryny, polizało mnie po uchu i nabożnie, z zachwytem, zaczęło wpatrywać się w ścianę, na której na hakach wisiały rozmaite kielbasy: krakowska, salami, szynkowa, kabanosy i mnóstwo innych.

– Matko Boska! – wykrzyknęła sprzedawczyni i gwałtownie zaczęła się śmiać. – No nie, tego jeszcze nie było...!

– Elf?! – wybełkotałem, rozumiejąc nagle, co się właśnie dzieje. – Elf...?!

Psisko usiadło posłusznie na posadzce i wpatrzyło się we mnie wzrokiem wyrażającym pełnię szczęścia. Z boku ktoś zachichotał.

Smycz, zaraz za miejscem, w którym przypięta była do szelek, wyglądała na pięknie przegryzioną. Zaś spojrzenie Elfa wyraźnie mówiło: „Ciężko było to przegryźć, ale w końcu się udało! Cieszysz się, prawda?”.



– O Boże – wymamrotałem, odruchowo chwytając go za tę nieszczęsną resztkę smyczy. – Chyba... chyba syn go nie upilnował. Miał z nim czekać przed sklepem.

W tym momencie zadzwonił mój telefon.

– Halo – powiedziałem ponuro, widząc na wyświetlaczu numer Młodego. – Chcesz mi coś powiedzieć?

– Elfa nie ma...! – wykrzyknął rozpaczliwie mój syn.
– Łażę dookoła sklepu i tu trochę dalej, nie ma go!!!

– Jest – uspokoiłem go. – Postanowił mnie odnaleźć. Ale chyba bardziej woli kielbasy niż mnie. Słuchaj, wejdź do sklepu i stań przy kasach, zaraz ci go przyprowadzę. I jeszcze jedno, Młody... Ja rozumiem, romans romansem, ale na przyszły raz patrz też trochę na niego, a nie tylko w piękne oczy Kary. Zrozumiano?

– Potwór... – wionęło ze słuchawki, po czym połączenie zostało przerwane.



Do końca tego wszystkiego nie rozumiem.

Bo: znalazłem Dużego, dowiedziałem się, gdzie rosną kielbasy, a tu co?

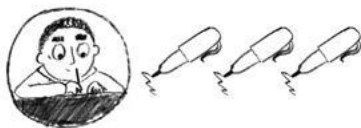
Nic.

Ani kielbasy nie dostałem, ani innej nagrody. Tylko smycz jest teraz zawiązana na gruby supeł w miejscu, gdzie użyłem moich zębów, by przypomnieć Młodemu, że czasem mogę biegać luzem.

A ta cała Linda uważa się chyba za jakąś arystokratkę, wielkie mi coś!

Niech myśli o samej sobie, co tylko chce, ale na pewno nie ma takiego fajnego Dużego i takiego fajnego Młodego! Ot, co!

**Coś złego
i coś dobrego**



Jeszcze tego samego dnia, wieczorem, dostałem w łeb. To znaczy nie tak fizycznie, pięścią czy innym czymś, ale psychicznie. Rozmawiałem mianowicie z Anią ze schroniska, która oznajmiła mi ze smutkiem, że Erka – bliźniacza siostra Elfa – od czasu jego wyjazdu jest smutna, osowiała, nie bardzo chce jeść i po prostu marnieje w oczach.



Mówiłem wam już, że jestem dość emocjonalnym typem. Momentalnie wczułem się w sytuację tej biednej Erki, która miała oparcie tylko w swoim psim braciszku. I nagle JA jej go zabrałem, JA byłem winien temu, że została tam sama, JA przyczyniłem się do jej smutku i przygnębienia... Nie, no nie! Po prostu walnęło mnie to po głowie i uczuciach niczym spadający pełnowymiarowy balkon. Co tu zrobić?!

Momentalnie zamieściłem apel na Facebooku. Może ktoś przygarnie Erkę?

Nic.

Młody też zamieścił na swoim profilu. I też nic.

Oczywiście natychmiast zaczęliśmy o tym rozmawiać, choć pora była już dosyć późna.

– A może po prostu... – zaczął Młody niepewnie, rozglądając się dookoła, a wtedy w ułamku sekundy zrozumiałem, co ma na myśli.

– Nie damy rady – rzekłem ostrzegawczo, kładąc dłoń na jego dłoni. – Młody, ja też mam dylemat, jestem rozdarty i w ogóle. Żal mi jej okropnie. Ale najzwyczajniej w świecie nie mamy warunków, żeby wziąć drugiego psa...!

I pewnie faktycznie nic z tego by nie wyszło, gdyby nie moja rodzina. Następnego dnia wieczorem wpadła do nas na moment moja ciocia Ewa, by przywieźć nam coś dobrego z jednej ze swoich restauracji, a przy okazji zobaczyć wreszcie Elfa, o którym tyle już słyszała. Jej zaciekawienie wzmagał fakt, iż sama była opiekunką i przyjaciółką trzech psów i czterech kotów, w większości właśnie przygarniętych, znalezionych lub podrzuczonych... Miała o tyle łatwiej, że wraz z rodziną mieszkała w niewielkiej miejscowości pod Wrocławiem, w pięknym dużym domu z wielkim ogrodem. Jeszcze nie tak dawno miała cztery psy, ale jeden z nich – precudowny, olbrzymi mieszaniec imieniem Bryś – przeszedł przez Tęczowy Most do psiej krainy szczęśliwości... Zupełnie zwyczajnie, ze starości, niemniej wszystkim go brakowało. Rozumiałem to doskonale i również za nim tęskniłem – pies to przecież taki sam członek rodziny jak wszyscy inni...!

Elf momentalnie Ewę pokochał. Obwąchał dokładnie. Polizał po ręce. A na koniec położył się u jej stóp brzuchem do góry, domagając się pieśczot. Ewa była wniebowzięta!

– Jaki on piękny! – rzekła z zachwytem, drapiąc i czochochając go po brzuchu. – Ale taki szczupłutki... Niedługo pańcio cię trochę podtuczy, prawda? I oczka masz takie śliczne! Zupełnie jak mój Bryś...

Na wspomnienie Brysia na chwilę posmutniała. Zaś mnie nagle przyszło coś do głowy.

– Prawda, że cudowny? – rzekłem z przekonaniem, siadając na podłodze przy Elfie, który od razu ułożył głowę na mojej łydce w jakiejś niemożliwej pozycji. – I pomyśleć, że w schronisku została jego siostra. Bliźniaczka. Wypisz wymaluj taka jak Elf, tylko chyba nawet jeszcze ładniejsza...

– Jak to?!

– Razem tam byli w schronisku. W jednej klatce. No i została sama, nikt jej nie wziął, a wiesz, że ja tu nie mam warunków na dwa psy. Rozmawiałem wczoraj z dziewczyną stamtąd; od czasu, gdy zniknął Elf, mała jest przygnębiona, nie chce jeść...

– A niech to dunder świśnie! – mruknęła strapiona Ewa, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Elf obgryza jej właśnie ozdobne kryształki Swarovskiego z paznokci u nóg.

Dyskretnie odciągnąłem psi pysk od jej stóp. Więcej o Erce nie rozmawialiśmy, ale wiedziałem, że ziarno zostało zasiane.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, obudził mnie telefon. Jako że Młody dopiero kotłował się w swoim pokoju, wiedziałem, że nie ma jeszcze nawet siódmej.

– Halo? – powiedziałem do słuchawki lekko nieprzytomnym głosem.

– Marcin? – odezwała się Ewa i mówiła dalej, nie czekając na moją odpowiedź. – Bo ja gadałam ze wszystkimi o tej małej, tej Erce, i, jak myślisz – czy ona jeszcze

jest do wzięcia? Bo tak nie może zostać, myślałam o niej przez pół nocy chyba! Wyślij mi esemesa z numerem do tej Ani jak najszybciej, dobrze? Ja tam zaraz zadzwonię, przecież jej nie można zostawić samej, bidulki...

Odkładając słuchawkę, uśmiechałem się od ucha do ucha. Mimo woli chyba zachichotałem na głos.

Raptem na brzegu rozkładanego narożnika, na którym spałem, pojawiła się psia łapa. Potem druga. A potem pomiędzy łap, spod spodu, wyłoniły się wielkie uszy i reszta Elfiej głowy, spoglądającej na mnie pytająco.

– No dobra – rzekłem, bo humor mi dopisywał w tej chwili wyjątkowo. – Możesz wejść, ale tylko dzisiaj, tak?

Psisko momentalnie wlaźło na pościel i umościło się przy moim boku z westchnieniem oznaczającym pełnię szczęścia. Po chwili, zwinięty w kłębek, Elf spał już kamiennym snem, a ja leżałem i myślałem – jak to dobrze, że na świecie są ludzie o wielkich sercach...!

Zły człowiek



Jackie ma fajnie. Jego pani pracuje w tym sklepie, gdzie rosną kielbasy! Ale podobno jemu też ich nie przynosi. Nie rozumiem, czy te kielbasy są tylko dla ludzi? Przecież pachną tak, że na pewno smakują i psom. Ale oni

z jakichś powodów nie chcą się z nami dzielić kielbasami. Co za samoluby!

Dziwi mnie tylko to, że niektóre rzeczy pachną fajnie i psom, i ludziom. Na przykład kielbasy właśnie. A inne – wręcz przeciwnie! Ludzie lubią zapach tych całych mydeł i perfum, a przecież on jest absolutnie okropny! Z kolei ja często na trawniku wywęszę coś, co pachnie wspaniale, a wtedy Duży pędzi w moją stronę, mówiąc: „Fe, zostaw! Świństwo!”.

Raz udało mi się jednak odwrócić jego uwagę i zjeść takie coś na trawniku. Potem było mi okropnie niedobrze i znowu musieliśmy iść do tego całego weterynarza. Może i ten Duży czasem ma rację?

Parę dni temu poznałem też Tajgę. Tajga to taka superfajna, trochę mniejsza ode mnie sunia o dłuższej, jasnej sierści. Jak ona lubi biegać, nie uwierzycie! Ścigamy się wokół górki, ganiamy za patykami, po prostu ją uwielbiam! Jej człowiek jest trochę młodszy od mojego, ale gdy my się bawimy, to oni ciągle gadają. Cieszę się, że Duży zaczyna rozmawiać z innymi ludźmi, bo wydawało mi się, że trochę tego za mało w jego życiu. No tak, gada z Młodym często... ale Młody to domownik. Ale Duży powinien też gadać z innymi, no nie?

Więc Tajga opowiedziała mi ostatnio straszne rzeczy. Ona jest co prawda młodsza ode mnie, ale mieszka tu dłużej niż ja. Całkiem dobrze oswoiła już tego swojego człowieka! No i dzięki znajomościom z innymi psami Tajga wie dużo więcej ode mnie. Ale to, co opowiedziała mi ostatnio, sprawiło, że aż wytrzeszczyłem oczy.

Podobno niektórzy ludzie biją swoje psy!!! Potraficie w to uwierzyć?! Tajga mówiła, że taka jedna mała suczka, Bańka się nazywa, czasem nie wytrzymuje i robi siusiu na dywan. Ale to dlatego, że jej pan nie dał się oswoić i wychować, i strasznie długo zostawia ją samą w domu. A ona, biedaczka, nie ma wyjścia i musi zrobić siusiu! A gdy on wraca i to widzi, to Bańkę bije. To okropne!

No i dziś, na popołudniowym spacerze z Młodym, zobaczyłem straszną rzecz. Najpierw usłyszałem odgłosy uderzeń. A potem, gdy wyszliśmy zza bloku na placyk, aż pisałem z przerażenia!

Na takim żelaznym czymś wisiał dywan. Obok zaś stał jakiś mężczyzna i strasznie mocno bił go dziwnym, dość sporym przedmiotem!

Jak on mógł?!

Biedny dywan cały się trząsł i falował; był co prawda trochę inny od tego, który leży na podłodze u nas w domu, ale od razu wiedziałem, że to dywan – każdy dywan wydziela dość charakterystyczny zapach.

Czemu jednak ten człowiek tak okropnie go bił?!

I wtedy przypomniała mi się opowieść Tajgi. No tak, teraz wszystko stało się jasne. Bo skoro jeden człowiek bił psa za to, że nasiusiał na dywan, to pewnie ten tutaj bił dywan za to, że nasiusiał na psa. No dobrze, rozumiem, że dywan zasłużył, by go skarcić, ale żeby aż tak strasznie go katować...?!

Swoją drogą będę musiał po powrocie do domu pogadać z naszym dywanem. Niech tylko spróbuje obsikać mnie, Dużego albo Młodego, to ja mu pokażę!



– Możesz dołączyć kolejny przedmiot do Śmiertelnie Groźnych Rzeczy – zachichotał Młody, wracając z psem ze spaceru. Uniosłem z zacięciem wzrok znad krojonej akurat do rosołu marchewki.

Śmiertelnie Groźne Rzeczy było to bowiem nasze określenie na nowe przedmioty, które poznawał Elf i zaczynał ostrzegawczo oszczeniwać.

– No, co takiego zobaczył? – pogoniłem Młodego, bo marudził przy ściąganiu psu szelek.

– Facet trzepał dywan na trzepaku. Elfa dosłownie wbiło w chodnik, nie chciał się ruszyć i warczał...

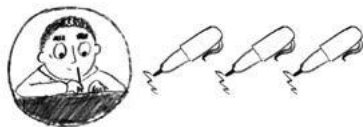
– Czekaj – uniosłem dłoń. – Popatrz na niego!

Młody odwrócił głowę, patrzył przez chwilę w stronę pokoju, po czym jednocześnie parsknęliśmy śmiechem.

Elf stał bowiem nad naszym dywanem w salonie ze zjeżoną sierścią i warczał groźnie, wpatrzony w sam środek. Potem parsknął, otrząsnął się i przybiegł do nas z wzrokiem wyrażającym poczucie dobrze spełnionego obowiązku.

O co mu chodziło, Bóg jeden raczył wiedzieć...

Pani Sąsiadka



Pani Sąsiadka już od samego początku była wyraźnie zainteresowana moją osobą. Mieszkała tuż obok, pod ósemką, a biorąc pod uwagę jej wiek i fakt, że spotykałem ją na klatce schodowej o każdej porze dnia, łatwo było się domyślić, że jest już na emeryturze. I faktycznie – za którymś razem przydybała mnie i Elfa nieopodal domu i wdała się ze mną w pogawędkę. Dowiedziałem się znacznie więcej, niż chciałem: poznałem wszystkie jej dolegliwości, sytuację materialną jej oraz męża, historię karier trójki dzieci, obejrzałem zdjęcia wnucząt, które miała w portfelu, i w pewnym momencie zakręciło mi się od tego wszystkiego w głowie. Był poranek, w domu czekała na mnie kawa, na Elfa jego żarcie, no ale nie wypadało obcesowo powiedzieć: „Nie mam czasu, pani wybaczyć”.

Pani zresztą pewnie by mi nie wybaczyła, bowiem – jak się okazało – miała w tym wszystkim swój cel. Wypytała mnie o Młodego, o stan cywilny, o psa, jedynie stan zdrowia mogłem na szczęście przedstawić krótko: nic mi nie dolega. Potem wykazała olbrzymie zaciekawienie charakterem mojej pracy.

– Bo tak sobie od razu pomyślałam, że pan to albo bezrobotny, albo coś – trąkotała jak najęta. – No ale skoro kupił pan nowe mieszkanie, to pewnie nie bezrobotny, tak?

– Zgadza się – bąknąłem. – Nie jestem bezrobotny.

– A ja jakoś nie widzę nigdy, żeby pan do pracy szedł? – dążyła dalej, zastępując drogę Elfowi, który w tej chwili uznał chyba, że dość tego, bo jakoś dziwnie gwałtownie wyrwał w stronę bramy. – Co pan, na urlopie jakimś jest, czy co?

– Nie, pracuję najczęściej w domu – odparłem zgodnie z prawdą. – A czasem wyjeżdżam. Trochę nietypową pracę mam, to fakt...

– No więc właśnie! – wykrzyknęła, a w jej wzroku dała się dostrzec potężna iskra niezdrowego zainteresowania. Jęknąłem żałośnie w duchu. Bo naprawdę, NA-PRAWDĘ nie chciałem mówić o tym, co robię. Nie dlatego, bym się tego wstydził – broń Boże! Wiedziałem jednak z doświadczenia, że takie dociekliwe starsze panie momentalnie puszcza informację w obieg, rozpowszechnia ją znajomym, a akurat na tym niespecjalnie mi zależało.

Sugerowała różne możliwości: agent ubezpieczeniowy? Przedstawiciel handlowy? Muzyk grający na wesełach? „Ale muzyk to chyba nie, bo nic u pana nie gra, tylko telewizor słychać...” Na miłość boską, podsłuchiwała pod drzwiami, czy jak...?!

Miałem dość. Tym bardziej, że dziś obok parkingu Elf znienacka zjeżył się i warknął na młodego, wysokiego faceta przechodzącego obok nas. Facet odskoczył i chciał kopnąć Elfa, na skutek czego mieliśmy małą scy-

sję, bo psa trzymałem krótko i dzieliły ich co najmniej dwa metry. Nerwowy jakiś. Swoją drogą był to pierwszy raz, gdy mój pies w ogóle na kogokolwiek warknął. Facet nie wyróżniał się niczym szczególnym, więc nie miałem zielonego pojęcia, czym zasłużył na takie wyróżnienie... Może był właścicielem jednego z psów, które oszczeakały ostatnio Elfa? Hmmm.

Tak czy inaczej nie miałem najmniejszej ochoty na kontynuowanie rozmowy z sąsiadką, która stawaa się co-



raz bardziej dociekliwa. „Bo wie pan, dobrze wiedzieć, kto mieszka obok, tylu teraz takich różnych...”

Dzięki Bogu, w tym momencie zadzwonił mój telefon. Ewa! Momentalnie skorzystałem z szansy, półgębkiem przeprosiłem wyraźnie zawiedzioną sąsiadkę i ruszyłem w stronę domu.

Cudowne wieści! Erka już za dwa tygodnie będzie w nowym domu, w Biestrzykowie u mojej rodziny!

Jupiiii...!!!

Nawet Elf wyczuł mój nastrój, bo po wejściu do domu odtńczył wokół mnie jakiś szalony taniec, w czasie gdy sypałem mu karmę do miski.

Mądry pies.

**Grubcio, Czestaw
i tajemnica
okolicznych piwnic**



– Daj spokój, nie chce mi się bawić – oznajmił zniechęcony pudel na trawniku obok górki. Duży przez ostatnie pół godziny rzucał mi patyki, za którymi po prostu uwielbiam biegać. Potem chyba jednak trochę się zmęczył, a na trawniku pojawił się Grubcio. Jego pani siedziała kawałek dalej na ławce i czytała gazetę, więc miałem nadzieję, że pudel się ze mną pobawi, ale jakoś nie miał ochoty.

– Czemu?! – zdumiałem się, biegając wokół niego, wyciągając przednie łapy i wszelkimi sposobami zachęcając go jednak do zabawy. – Pobiegajmy! Wyścig dookoła góry, co ty na to?

– Nie ma mowy – odparł Grubcio ponuro i usiadł. – Po dziesięciu metrach dostanę zadyszki, a po kolejnych piętnastu zawału serca.

Nie miałem pojęcia, co to jest zawał serca, ale wolałem nie ryzykować. Brzmiało złowieszczo.

– A czemu? – spytałem niepewnie. – Coś jest nie tak?

– Jestem za gruby! – jęknął Grubcio i uniósł wzrok ku niebu. – Za dużo jem, a weterynarz ciągle mówi mojej pani, żeby nie dawała mi pizzy. I boczku. I kielbasy. I czekolady... Ale ona mi to daje, gdy sama już nie może.

Zerknąłem na jego panią – faktycznie, też była dość duża. Bardziej wszerek niż wzwyż.

– To po co to jesz? – zdumiałem się. – Mój Duży daje mi takie fajne coś, z rybą, no i popatrz, jaki jestem! Ryba jest dobra i zdrowa!

Grubcio przyjrzał mi się z zawiścią.

– Masz mądrego pana – westchnął. – A ja mam słabą wolę. Sam powiedz: gdyby twój Duży dał ci wielki kawał kielbasy, boczku i inne rzeczy, to zdołałbyś się powstrzymać?

Oj, chyba bym nie zdołał... Samo wspomnienie zapachu kielbasy sprawiło, że odruchowo przełknąłem ślinę.

– Więc sam widzisz – rzekł ze smutkiem. – Ona mi to daje, ja to zjadam, no i jestem taki właśnie. Nie umiem już biegać...

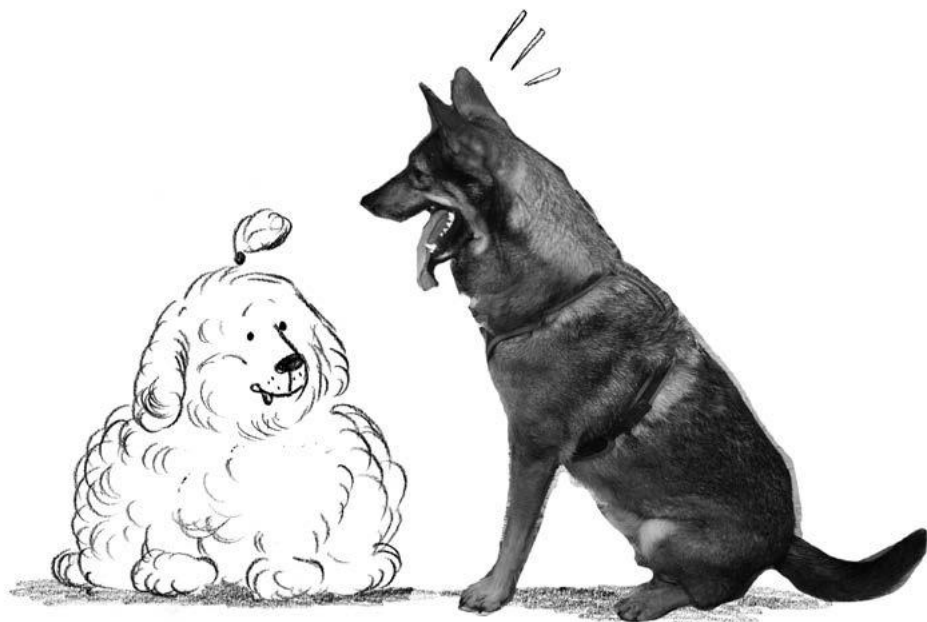
To mi dało do myślenia. Czyli jednak nie wszystko zależy od tego, jak pies wychowa swojego człowieka. Czasem, jak się okazuje, człowiek ma dziwne nawyki i pies nie jest w stanie nic na to poradzić.

Oj, to smutne... Biedny Grubcio!

Ale, ale – poznałem też Czesława!

To było dzisiaj rano. W dodatku Młody był dziwnie zdumiony, bowiem Czesław to kot. Już od dawna czułem jego zapach i widziałem cień przemykający pod samochodami, jednak nigdy nie dało się podejść do niego wystarczająco blisko, by mu się przedstawić i pogadać.

Dopiero dziś mi się udało! Czesław siedział obok kosza na śmieci i z godnością pogryzał kawałek ryby, którą ktoś wyrzucił. Od zapachu ryby dosłownie zakręciło mi



się w głowie, zdążyłem podejść do nic niepodręczającego Czesława bardzo blisko. Akurat skończył jeść, odwrócił się, zobaczył mnie i z wrażenia aż zasyczał.

Ogon momentalnie stanął mu dęba. Czesław gniewnie prychnął:

– Spadaj, kundlu!!! Bo przejadę ci pazurami po pysku!

Zdumiałem się. Przecież nie chciałem mu zrobić nic złego!

Wystarczyły krótkie wyjaśnienia. Chociaż, co prawda, z początku Czesław był bardzo nieufny. Ja już taki jestem, że dużo skaczę, merdam ogonem, biegam, a on był trochę spokojniejszy i moja ruchliwość nieco go chyba niepokoiła. Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że naprawdę nie chcę mu zrobić krzywdy.

Fajny jest ten Czesław! Jasne, że pachnie inaczej niż psy. Ale też ma cztery łapy i ogon. A gdy Młody siedział na ławce i bardzo długo zajmował się czymś, co ludzie nazywają „telefon”, to Czesław najpierw lizał moje uszy, a potem – w rewanżu – ja wylizałem mu brzuszek.

No proszę, mam kolejnego kumpla, oczywiście oprócz Jackiego i Tajgi!!

Bo Grubcio jest jakiś... nie taki...



Młody wrócił ze spaceru dziwnie zakręcony, zarumieniony i rozpromieniony. Gdy usiłował włożyć do lodówki brudny talerz po rosole, zrozumiałem, że sprawa jest poważna.

– No, jak tam było na spacerze? – zagadnąłem, odbierając mu talerz i wkładając do zmywarki.

Spojrzał na mnie nieprzytomnym wzrokiem.

– Spacerze?

– Piętnaście minut temu wróciłeś z Elfem – przypomniałem mu łagodnie, delikatnie wyjmując mu z dłoni solniczkę, którą bawił się nad kubkiem herbaty. Podsunąłem mu cukier.

– A, z Elfem! – wykrzyknął i znowu się zmieszał. – No tak, z Elfem... Zrobił siku. I w ogóle wszystko.

– Bardzo dobrze – pochwaliłem, w sumie nie wiem kogo. Chyba obu. – A coś poza tym? Widziałeś może Karę?

Bardziej bezpośrednio nie dało się chyba zapytać. Ale Młody pokazał klasę.

– Nie widziałem – oświadczył radośnie. – Ale widziałem Panią Sąsiadkę! Ty, o co jej chodzi? Wypytywała mnie o ciebie, o twoją pracę, dosłownie o wszystko!

– Tego tylko brakowało – rzekłem beznadziejnie. – Co powiedziałeś?

– Nic – wzruszył ramionami. – Powiedziałem, że chodzę do gimnazjum, a jeśli chce wiedzieć coś o tobie, to niech sama cię zapyta.

– No i pytała...

– Co jej powiedziałeś?

– Niewiele. Nie lubię wścibskich osób.

– Trzeba dobrze żyć z sąsiadami – przypomniał mi Młody z wyrzutem. – Sam mi to mówiłeś przed przeprowadzką. Mówić „dzień dobry” i takie tam...

– Mówisz jej „dzień dobry”?

– Mówię.

– Ja też – warknąłem wściekle. – Ale to nie znaczy, że muszę jej się spowiadać ze wszystkiego, prawda? A już to, że usiłuje podpytać ciebie o mnie, sprawia, że mam drgawki.

– I jeszcze mówiła, że było włamanie do paru piwnic w sąsiednich blokach – przypomniał sobie Młody. – W tym wyższym, przy Krośnieńskiej, no i w naszym też, tyle że w klatce obok. I tak dziwnie przy tym na mnie patrzyła.

– Tego tylko brakowało, by wezwała policję – powiedziałem chyba w złą godzinę, ale to wyszło na jaw trochę później. – To teraz mi powiedz, co się stało na spacerze?

– Nic – oświadczył radośnie Młody, po czym wstał i poszedł do swojego pokoju.

Matko Boska. Aż żałowałem w tej chwili, że nie jestem Elfem i nie widziałem, co się działo podczas tego spaceru.

WRRRRR...

Śmiertelnie Groźne Rzeczy oraz bardzo poważna rozmowa



Świat ludzi bywa jednak przerażający. Nawet w mieszkaniu czasem pojawia się coś, co powoduje, że sierść podnosi się na grzbiecie, a warkot w gardle narasta sam z siebie.

Jakiś czas temu, na przykład, zajrzałem do tej całej łazienki. Duży akurat stamtąd wyszedł, ale drzwi zostawił niedomknięte. No i w środku było coś strasznego! Paszcza taka, wielka, biała, akurat powoli się zamykała – wtedy już nie wytrzymałem. Oszczekałem ją ze wszystkich sił! Pewnie chciała zeżreć mojego Dużego, tylko nie zdążyła. Niech wie, że na to nie pozwolę!

Albo wczoraj: Duży był w przedpokoju, coś tam przewracał i grzebał, więc w końcu poszedłem sprawdzić, co robi. Bo może akurat chciał, bym go wyprowadził na spacer? Ale nie.

Zobaczyłem jednak coś potwornego – Dużemu na plecach siedziało coś, co uczepiło się go i chyba nie chciało puścić, a Duży był dziwnie przygarbiony, jakby go bolało... No i jak mogłem tego nie oszcekać?! Ty potworze, ty okropieństwo jakiegoś straszne, zostaw Dużego!!!

Ale, niestety, nie zlażło. Duży wyszedł z tym czymś na plecach z domu. Miałem nadzieję, że załatwi to gdzieś na trawniku, zrzuci z pleców, zagryzie i tak dalej – niestety, wrócił z tym. Tyle że już się tak nie garbił. Może wcześniej go gryzło w kark, a po moim szczekaniu dotarło do niego, że robi źle, i przestało?

Na wszelki wypadek, gdy Dużemu w końcu udało się tego pozbyć i postawił to pod ścianą, oszczeakałem to ponownie. Nie ruszało się i nic nie mówiło, więc chyba zrozumiało, że ma zachowywać się spokojnie. No!

Młody też nie ma lekko. Jednego razu usłyszałem z jego pokoju jakieś niepokojące okrzyki, wpadłem tam od razu i co zobaczyłem?! Młody machał okropnie rękami, do jednej z nich przyczepiło mu się coś takiego



dziwnego, wyglądało jak dwa solidne kije i coś giętkiego pomiędzy nimi. Śmigało to w powietrzu, Młody machał rozpaczliwie, usiłując się uwolnić, ale nie dawał rady, bo to coś ciągle było uciepione jego jednej albo drugiej ręki! Nie wytrzymałem, skoczyłem, złapałem w powietrzu, pociągnąłem... i udało się! Zostało mi w pysku i było tak zaskoczony, że w ogóle nie stawiało oporu! Od razu pobiegłem z tym do przedpokoju, warcząc okrutnie, by wiedziało, że ze mną nie ma żartów.

Potem Młody, prawie od razu, przyszedł tam za mną. Chyba prosił o łaskę dla tego czegoś. Było spokojne, więc wspaniałomyślnie się zgodziłem, choć w sumie fajnie się to gryzło. Młody to zabrał i schował w szafie. Mam tylko nadzieję, że stamtąd nie wylezie i znowu nie robi nikomu krzywdy.

A ostatnie takie jedno coś, które usiadło Dużemu na głowie, w końcu wyrzuciłem przez okno. Bo zdecydowanie przesadziło!

Ja już sam nie wiem – co Duży i Młody zrobiliby beze mnie? Kto by ich obronił przed tymi wszystkimi strasznymi rzeczami? Już nie będę nawet wspominał o tych okropnościach, które czają się na nas podczas spacerów, bo to przechodzi psie pojęcie...



Uwielbiałem obserwować Elfa, gdy widział jakieś rzeczy po raz pierwszy w życiu. Zaskakujące reakcje,

najczęściej pełne nieufności i ostrzegawczych sygnałów były po prostu przezabawne!

Wczoraj na przykład włożyłem do plecaka sporo książek, które obiecałem tutejszej bibliotece. Gdy plecak znalazł się na moim grzbiecie, aż jęknąłem – papier jednak jest ciężki... Wtedy Elf wyskoczył z pokoju, na grzbiecie momentalnie zjeżyła mu się szczotka z sierści i oszczeakał plecak niemiłosiernie! Gdy wróciłem, już z pustym, też mu nie darował. Ha!

Wolnoopadająca deska sedesowa również nie wzbudziła jego zaufania. Pewnego razu przyuważył ją, gdy akurat wyszedłem z toalety. Nie dał jej spokoju, póki się nie zamknęła, a i później długo węszył pod zamkniętymi drzwiami.

Najlepsza akcja jednak nastąpiła, gdy Młody ćwiczył w pokoju ze swoim nunchaku. Nie dość, że nunchaku zostało oszczekane, to w dodatku Elf pięknym skokiem wyrwał je Młodemu, popędził z nim w ustronne miejsce i z głuchym warkotem usiłował zagryźć na śmierć.

Dosłownie popłakaliśmy się obaj ze śmiechu!

– Przyczajony Plecak! – kwiknął Młody, ocierając łzy z kącików oczu. – No ja nie mogę!

– Złowrogie Nunchaku – dorzuciłem, trzymając się za brzuch, który bolał mnie od śmiechu. – Nie wspominając już o Przerażającej Szeleszczącej Reklamówce, która zaatakowała go podczas spaceru...

– A Wygłodniała Deska Klozetowa?! – przerwał mi Młody i znowu zaczął kwiczeć niemiłosiernie. – Obląkana Wirująca Pralka?!

Olek, najlepszy kumpel Młodego, siedział na fotelu w kącie i przyglądał się nam z coraz bardziej rozpaczliwą miną.

– Zaczynam się was bać – mruknął nagle. – Albo może nakręcę o was film i wrzucę na YouTube’a, i będę sławny.

– Czemu? – zdumiałem się, ze śmiechu nie mogąc trafić ręką w miskę z chrupkami. – Aż tak nas nie lubisz?

– Właśnie lubię – rzekł ponuro. – W życiu nie widziałem takiego taty jak pan! Mój tylko jęczy, że nie starczy na rachunki, że mam złe stopnie, że znowu musi iść do pracy i rano wstać, i takie tam. A w dodatku trafiliście na psa, który jest równie walnięty jak wy! Znaczy się, przepraszam...

Zacząłem się śmiać, ale zaraz potem poczułem się trochę nieswojo.

– Czekaj, Olek... – uniosłem dłoń, ale przerwał mi Młody.

– A gdy wyrzucił przez okno twój kapelusz, ten z wyścigów konnych?! – zajęczał, tarzając się po kanapie. – Straszliwy Kapelusz, nie no, nie mogę...!



– Uspokój się – zażądałem, ocierając łzy, które ze śmiechu znowu napłynęły mi do oczu. – Bo ja chcę coś powiedzieć, ale na poważnie.

– Na poważnie...! – kwiknął Młody, złapał się za brzuch i popędził do łazienki. Elf popędził za nim, co w sumie nie było takie złe.

– Olku – rzekłem wreszcie, korzystając z okazji. – Nie wiem, czy wiesz, ale ja też miewam z Młodym poważne rozmowy. Bo i pieniędzy też nam czasem brak, i ja również narzekam. A Młody nie wszystkie stopnie ma dobre, choćby to ubiegłoroczne zagrożenie z matematyki...

– Ale pomógł mu pan! – przerwał mi nastolatek, podrywając się z miejsca. – Miał pan dla niego czas! Bez żadnych korepetycji pomógł mu pan tak, że z tej matmy miał w końcu tróję! A mój stary... znaczy się ojciec...

Ojca Olka, Zbyszka, znałem dość dobrze od jakiegoś czasu. Obaj chłopcy chodzili do tej samej podstawówki, byli w tej samej klasie, a ich przyjaźń datowała się na wiele lat wcześniej. Hmm.

– Olku, twój tata ma trochę inną pracę niż ja – zacząłem znowu, chcąc być sprawiedliwym. – Ja mam ciut więcej czasu...

– Guzik prawda – przerwał mi znowu, z zaciętym wyrazem twarzy podrywając się z miejsca. – Pan też ma te wyjazdy, niekiedy i na dwa tygodnie. I pisać też pan musi, no nie? A to wymaga skupienia chyba, noo... żeby pana nie rozpraszać, tak myślę. Zaś Młody mówił mi, że zawsze, zawsze gdy tylko poprosi, to pan ma czas, by z nim pogadać. Choćby o jakichś pierdołach, ale ma pan czas. A mój tata...



No tak. Zawsze byłem zdania, że rodzic musi mieć czas dla swojego dziecka. Czasem trzeba odstawić na bok własne sprawy, ale TEN czas trzeba znaleźć. Bez żadnych wymówek. Dojrzewa się jeden raz w życiu, wtedy ma się najgorsze dylematy i zdecydowanie wolałem, by dylematy mojego własnego syna rozwiązywane były z moim udziałem niż za pomocą imprez, wiadomości wziętych z internetu lub z innymi dorosłymi, którzy mogli mieć Bóg wie jakie poglądy i zamiary...

Wiedziałem jednak, iż Zbyszek, tata Olka, nie ma ostatnio dobrego okresu w życiu. Zmiana pracy, duże wymagania, konieczność dokształcania się... To wszystko mogło sprawić, że zapomniał o pewnych ważnych rzeczach. Z kolei mama Olka była owszem – bardzo troskliwa i kochająca, ale zawsze najbardziej myślała o tym, by

dzieci miały czyste ubrania i coś smacznego na obiad. Podziwiałem ją, bo pomimo ciężkiej choroby przez osiem lub dziesięć godzin dziennie pracowała w kasie w hipermarkecie, zaś po pracy dorabiała w domu jako krawcowa. Zapewnienie dzieciom czystych ubrań i dobrych posiłków było więc naprawdę sporym osiągnięciem, biorąc pod uwagę jej brak czasu i sił. Byłem pewien, że na jej miejscu nie dałbym rady.

– Mama się stara – rzekł Olek cicho, jakby w odpowiedzi na moje myśli. – Ale wie pan, jak jest. Ja i tak próbuję jej pomóc. Tata też nie ma lekko, ale od czasu do czasu chciałbym się przy nim poczuć tak jak Młody przy panu. Przecież wiem, że parę lat temu Młody stracił mamę i pan wszystko tu robi sam i co? Jakoś wam wychodzi, dajecie sobie radę...

To wyznanie ukuło mnie w samo serce. Co mogłem jednak zrobić?

Chociaż... może i mogłem?

Jak się okazało, nie tylko ja mogłem: dokładnie w tym momencie Elf wrócił do pokoju, oparł przednie łapy na oparciu fotela, po czym – po raz pierwszy! – zaczął lizać Olka po ręce. Było to o tyle dziwne, że do tej pory traktował obcych raczej z nieufnością i rzadko kiedy nawet dawał się zwyczajnie pogłaskać.

Olek roześmiał się i poczochnął Elfa po karku, a pies uniósł ku niemu rozanielony wzrok.



– Młody, bądź dobry dla Olka – poprosiłem przy kolacji. – Gdy będzie chciał pogadać, potraktuj go poważnie, dobrze?

– Ale co ty...?

– Nic, tylko tyle – uciałem. – Jednak pamiętaj o tym, co właśnie powiedziałem, dobra?

Przez długą chwilę, w zamyśleniu, patrzył mi w oczy.

– Dobra – rzekł w końcu. – Może niedobrze rozumiem, ale chyba rozumiem. Masz moje słowo.

Odetchnąłem z ulgą.

– Ale i tak zamierzam się przy nim wydurniać – dodał oczywiście. – Nie da się tego ze mnie usunąć, musisz się z tym pogodzić.

**Coś, czego nikt z nas
trojśa się nie spodziewał**



Rano, gdy wyprowadzałem Dużego na poranny spacer, od razu poczułem ten nielubiany zapach na samym dole, tuż przy wyjściu. Dobiegał jakby ze schodów do piwnicy, ale ciągnął się też dalej, na klatkę schodową... I jeszcze dalej, gdzieś na zewnątrz. Warknąłem głucho, chcąc ostrzec Dużego, ale jakoś nie zwrócił na to uwagi. Westchnąłem ciężko, następnie próbowałem pójść tro-

pem tego zapachu, jednak Duży poprowadził mnie tam, gdzie zawsze podczas porannego spaceru.

Górka...!

I rzucanie patyków! Jupiii!!!



Około czternastej zadzwonił dzwonek u drzwi. Głupio spytałem: „Kto tam?”, choć dokładnie teraz ze szkoły powinien wrócić Młody. Pewnie jak zwykle zapomniał kluczy. No cóż, biorąc pod uwagę jego ostatnie sercowe rozterki, byłem w stanie to zrozumieć.

– Policja – dobiegł głos zza drzwi.

– Bardzo śmieszne – mruknąłem, otwierając. – Posłuchaj, Młody, nie zdejmuj butów, trzeba kupić...

– Co trzeba kupić? – spytał sympatycznie wyglądający facet w mundurze. – Aspirant Maciej Polański. Czy pan jest właścicielem tego mieszkania?

– Co? – spytałem chyba dość nieprzytomnie, by nie powiedzieć – nieuprzejmie. – Ale dlaczego?!

– Jeśli jest pan właścicielem, to pewnie dlatego, że je pan kupił – odparł rozsądnie. – Ale czy to pan?

– Pan – jęknąłem, ogłuszony. – To znaczy nie pan, ja. Jestem. Znaczy się, właścicielem. O Boże, niech pan wejdzie!

Pomimo osłupienia zdołałem spostrzec, że facet chichocze pod nosem. Dokładnie w tym samym momencie za jego plecami, na podeście, pojawił się Młody. Drzwi

od mieszkania numer osiem uchyliły się na moment, po czym zaraz zamknęły.

Co tu się dzieje, u licha?!

– Gryzie? – spytał policjant rzeczowo.

– Mój syn...?! – spytałem niepewnie, spoglądając na Młodego, którego mina wyrażała całkowite zdumienie.

– Pies – rzekł aspirant, wskazując na Elfa, który stał tuż obok moich stóp, wpatrując się w niego z napięciem. – A syn gdzie?

– Tutaj – odezwał się ponuro Młody zza jego pleców. Ton jego głosu momentalnie wzbudził we mnie potworne podejrzenie, że moje potomstwo zrobiło coś nielegalnego. Ale co to mogło być?!

– Nie gryzie – odparłem z ciężkim westchnieniem, na wszelki wypadek przytrzymując Elfa za obrozę. – Żaden z nich. Nic o tym nie wiem, a jeśli nawet gryzą, to nie chcę o tym wiedzieć. Nic nie rozumiem.

– Ja też – mruknął Młody, wchodząc do domu w ślad za policjantem.

– Ja na razie również nie – poinformował nas radośnie tenże, po czym usiadł w kuchni na podsuniętym mu krześle. – I właśnie dlatego tu jestem.

– Czyli dlaczego? – spytałem ostrożnie, opierając się o kuchenkę. – No dobra, nie wiem o co chodzi, ale napije się pan herbaty? Albo wody? Obiecuję, że niczego dziwnego nie dosypię, chociaż przyznam, że z policją nie miałem w życiu ani razu do czynienia i jestem wstrząśnięty.

– My też nie gryziemy – mruknął aspirant z humorem. – A wody chętnie się napiję, bez dosypanego cyjanu potasu. Po ostrych przyprawach mam zgagę, wie pan.



– Młody? – rzuciłem, ale ten już usłużnie podsuwał nieoczekiwanemu gościowi butelkę i czystą szklankę. Pomimo iż policjant miał najwyraźniej poczucie humoru, ta usłużność mojego syna pogłębiła tylko mój niepokój. Co on zbroił?! No proszę, a do tej pory było z nim tak spokojnie – żadnych problemów z alkoholem, narkotykami, przemocą...

– Niech pan mówi – rzekłem, zrezygnowany. – Zniosę wszystko. Co on zrobił?

– Kto?

– Mój syn.

– Co takiego? – oburzył się Młody, prawie nadeptując na Elfa. – Ja?! Oszalałeś?!

– A ma pan z nim jakieś problemy? – spytał rzeczowo policjant.

– No właśnie nie mam – rzekłem z zatroskaniem. – I miałem nadzieję, że zostanie tak możliwie długo. A tu proszę.

– Dziękuję – rzekł Młody grobowo, po czym opuścił kuchnię. – Zrywam stosunki dyplomatyczne...

– Ja zaraz oszaleję – zapowiedziałem ostrzegawczo, zamykając na moment oczy. – Skoro nie chodzi o niego, to niech pan powie, błagam, czemu pan tu jest?!

– W ciągu ostatniego tygodnia włamano się do siedemnastu piwnic w okolicznych blokach – spoważniał policjant. – Słyszał pan o tym?

– Coś tam obilo mi się o uszy – odparłem z zaskoczeniem, przypominając sobie słowa Młodego sprzed jakiegoś czasu. – Ale zaraz, czemu pan przyszedł właśnie...

– Spokojnie – uniósł dłoń i głęboko westchnął. – Wie pan, mamy obowiązek sprawdzać wszystkie poszlaki, w tym także doniesienia okolicznych mieszkańców. Dlatego tu jestem.

– Doniesienia okolicznych... – wybełkotałem i straciłem głos.

– To ta stara prukwa!!! – wrzasnął Młody z pokoju obok. Najwidoczniej wszystko słyszał. – Urwę jej łeb i rzucę karpioniom w Miliczu!! A potem ją zreanimuję i udużę jej własnym beretem!!!

– Młody! – ryknąłem z oburzeniem. – Bez takich mi tutaj, no...!

– No tak, jeśli teraz ktoś ją zamorduje, to od razu będzie na mnie, tak?!

– Wy tak zawsze? – spytał policjant z zaciekawieniem. – Pan naprawdę jest jego ojcem?

– Naprawdę – rzekłem ponuro, ale zarazem z dumą. Pewien bowiem byłem, że czego jak czego, ale żadnego

włamania do piwnic Młody nie przeprowadził. Nie mówiąc już o sobie.

– Co ona nagadała? – spytał Młody z oburzeniem, stając w drzwiach. – Dobra, przepraszam za tę prukwę. Zresztą w sumie nie wiem czemu, bo to słowo jest w oficjalnym słowniku języka polskiego. Ale i tatę wypytywała o wszystko, i mnie też próbowała wypytać niedawno, więc co za ciekawska pru... pani!

– Ale ja wcale nie powiedziałem, że chodzi o panią spod ósemki! – zastrzegł aspirant Polański nerwowo. – Niczego takiego przecież nie powiedziałem!

– Właśnie w tej chwili pan powiedział – rzekłem uprzejmie. – Młody, mówiąc o domniemanej prukwie, nie wspomniał, że chodzi o panią spod ósemki. Ale teraz już to wiemy.

– W przesłuchaniach bylibyście świetni – mruknął policjant, gwałtownie się czerwieniąc. – No dobrze. Powiedziała nam o was dziś rano, to znaczy po włamaniu do jednej z piwnic w waszej klatce schodowej...

– Nic nie wiedziałem! – wykrzyknął Młody, nagle podekscytowany. – I kto to zrobił?!

– Co... ona... powiedziała? – spytałem z naciskiem, starając się wrócić do głównego, przynajmniej dla mnie, wątku. – Widziała, jak uciekałem z rozpiłowaną kłódką? Wynosiłem z piwnicy torby z łupem?

– Ta piwnica akurat nie była zamknięta na kłódkę, tylko przy pomocy blokady rowerowej – rzekł aspirant Polański z rezygnacją w głosie. – No dobrze. Sąsiadka doniosła nam, że jest pan podejrzany, mieszka z młodym

chłopcem, prawdopodobnie nie pracuje, bo nie chodzi pan do pracy... A stać pana na mieszkanie, co gorsza zaś – co najmniej kilkakrotnie widziała pana o pierwszej w nocy na dziedzińcu. Zaś te włamania do piwnic zaczęły się niedługo po tym, gdy się wprowadziliście...

Z wrażenia aż zamilkłem, pełen podziwu dla inwencji twórczej Pani Sąsiadki.

– To ona powinna pisać książki, a nie ty – mruknął Młody z nutą szacunku. – Tyle że chyba jej wyszedłby świetny thriller. A ty nie umiesz.

– Pan pisze książki? – zdumiał się policjant. – Na poważnie?!

– Nie, na śmieszno – zachichotał Młody. – I żeby pan wiedział, że to prawda! Dobra, ty się tu tłumacz, ja idę na czat. Muszę pogadać z Olkiem. Będzie miał ubaw po pachy.

– Potwór – mruknąłem, po czym z westchnieniem odsunąłem od stołu kuchennego drugie krzesło i usiadłem na nim. – A niech to szlag trafi. To faktycznie może tak wyglądać. Bo wie pan, ja rzeczywiście w ciągu dnia nie wychodzę do żadnej pracy. Ale to da się łatwo wytłumaczyć...

Wyjaśnienia potrwały dłuższą chwilę. Policjant niczego nie notował, słuchał ze zrozumieniem, a w dodatku uśmiechnął się szeroko, gdy na dowód mojej prawdomówności pokazałem mu kilka egzemplarzy moich książek.

– A te wędrówki o pierwszej w nocy? – spytał na koniec. – Niech się pan nie gniewa, muszę o to spytać.

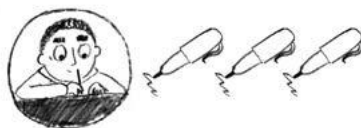
– Rozumiem doskonale – westchnąłem. – Może jestem dziwny, ale najlepiej pisze mi się w nocy. Cicho wtedy jest, spokojnie, samochody nie jeżdżą za oknem... Ale najbardziej kreatywnie myśli się podczas spacerów z psem. Więc gdy w nocy dopada mnie taki nagły przestój w pisaniu, biorę Elfa na smycz i...

– No dobrze! – roześmiał się pan Maciek, bo tak mu w końcu zacząłem mówić, by było prościej. „Panie aspirancie”, „panie policjancie” to było dziwnie sztywne i jakoś mi nie pasowało. – Mam tylko prośbę. Malutką. Skoro pan chodzi nocami po okolicy, niech pan zwraca uwagę na jakieś dziwne zdarzenia, podejrzanych typów i tak dalej. Co pan na to?

To mogłem obiecać mu z czystym sumieniem.



**Pierogi, gotab,
a na koniec kałaniec...
Co za upokorzenie!**



– Pierogi z mięsem – odparłem na pytanie Młodego, co będzie na obiad. – Te od cioci Ewy, lubisz je.

– Ja wiem, co ja lubię – odparł z godnością i spojrzał na mnie potępiającym wzrokiem. – Nie jestem pięciolatkiem, byś przypominał mi, co lubię. Barszczyk do nich będzie?

– Będzie – obiecałem solennie, trzymając w zanadru trochę gorszą dla niego wiadomość. – A po obiedzie porozmawiamy, tak?

– Znowu zrobiłem coś nie tak? – momentalnie się nastroszył. – Wiem, że wczoraj miałem rozwiesić pranie, ale...

– Nie, nie chodzi o pranie – uspokoiłem go. – Miałeś rozwiesić, ale uczyłeś się do sprawdzianu z fizyki, przecież wiem. Czy naprawdę zawsze, gdy to ja chcę z tobą pogadać, a nie ty ze mną, od razu podejrzewasz mnie o jakieś pretensje?!

– No, nie – zreflektował się Młody, najwyraźniej skruszony. – Nie jesteś aż taki zły. A co się stało?

– Pogadamy po obiedzie. A co z fizyką?

– Ciekawość mnie zeżre prędzej niż ja pierogi – poinformował mnie. – Fizyka na trzy, czyli lepiej, niż myślałem. A ty mów mi wszystko zaraz, natychmiast i szczerze do bólu. Masz chorobę prostaty, tak?! I właśnie o tym chcesz pogadać?!

– Odczep się od mojej prostaty! – rzekłem gniewnie, nakładając pierogi na talerze i okraszając je przysmażoną cebulką. – Jest w doskonałym stanie. Ale za dwa tygodnie muszę jechać na dwa spotkania autorskie do Piły.

– Przecież są wakacje! – jęknął z pretensją, biorąc talerz i od razu odkładając go na brzeg stołu. – W wakacje dzieci są... no, na wakacjach! Więc jakie znowu spotkania?!

– Wakacyjne – odparłem ponuro. – No ale trzeba, sam wiesz. Zostaniesz sam na dwa dni?

– A czemu nie możemy pojechać razem? – spytał z pretensją Młody, trzaskając zeszytem o blat biurka. – Skoro wtedy będą już wakacje? Tato, dzisiaj poprawiłem fizykę! A ty wstydzisz się mnie tam zabrać, czy co?!

Zgłupiałem.

Bo to, co powiedział, miało sens! To znaczy nie dlatego, że się go wstydziłem, ale przecież za dwa tygodnie już nie będzie chodził do szkoły i było oczywiste, że możemy jechać wszyscy razem!

– Chcesz jechać? – spytałem ze zdumieniem, bowiem na spotkania we wrocławskich bibliotekach Młody jakoś nigdy się nie palił. – Naprawdę pojedziesz ze mną do Piły?

– Nie, na niby – odparł kąśliwie. – Dla żartu dojadę na deskorolce. Przecież jasne, że z tobą pojadę! Ale Elf z nami, tak?

– No a jak inaczej? – roześmiałem się, nagle rozumiejąc sytuację. – Oczywiście, że z nami!

Dialog przerwało nam rozpaczliwe wycie Elfa, który – jak się okazało – ukradł pieróg z talerza Młodego i biegł z nim na swoje miejsce, z góry żałując swego czynu...



Nie wytrzymałem. Oni gadali i gadali, a te pięknie pachnące rzeczy leżały na talerzach. Zbliżyłem nos do krawędzi stołu – tylko na tyle, by lepiej powąchać. Miałem nadzieję, że z bliska nie będą pachniały aż tak ładnie i stracę na nie ochotę. Niestety, tuż obok nosa pachniały jeszcze cudowniej...

Oblizalem się i spojrzałem na Dużego. Ciągłe gadał z Młodym. A ten też na mnie nie patrzył.

Cicho jęknąłem. Żadnej reakcji! Czy oni nie widzą, że ja tu cierpię?!

Wiedziałem, że to byłoby bardzo niedobrze, zabrać im coś ze stołu. Świetnie o tym wiedziałem. Oni, na przykład, nigdy nie zabierali niczego z mojej miski. Wręcz przeciwnie, czasem – gdy bardzo prosiłem – dokładali mi trochę mojego jedzenia. Jednak te ich pierogi pachniały tak pięknie, tak CUDOWNIE...!

Wystarczył ułamek sekundy, by – sam nie wiem, jakim cudem – pieróg znalazł się w moim pysku. Jęknąłem głośno i uciekłem na swoje jedzenie, wyjąc rozpaczliwie... bo wiedziałem że to, co zrobiłem, było bardzo złe.

Ale czemu oni zaraz po tym zaczęli się ze mnie śmiać?
Hmm. Ludzie mają dziwne poczucie humoru.



– Mam przestać mówić jej „dzień dobry”? – spytał Młody zapalczywie, gdy wieczorem siedzieliśmy w salonie. Ja robiłem notatki na marginesach wydruku nowej książki, Młody oglądał telewizję, ale jakoś nieuważnie.

– Komu? – zgorszyłem się, podnosząc wzrok.

– Prukwie.

– Nie mów tak o niej – poprosiłem. – Mnie też się nie podoba jej wścibskość i to, że nasłała na nas policję. Ale starałem się ciebie dobrze wychować i proszę cię, byś mówił jej „dzień dobry”. Pomimo wszystko. Tym bardziej będzie jej głupio, gdy ją uprzejmie przywitasz. Kumaszczyk?

Na jego twarzy pojawił się błysk zrozumienia.

– Okażę tym samym moją wyższość, tak?

– Okażesz wysoką kulturę osobistą – odparłem dyplomatycznie. – Ja też jej dziś powiedziałem „dzień dobry”.

– I co?

– Odpowiedziała i prawie odbiegła, tak nagle zaczęło jej się spieszyć – zachichotałem. – Zobaczyła, że policja nas nie aresztowała, i teraz jest jej głupio.

– Ja się w ogóle bałem, że ten policjant przyszedł do nas z powodu tamtej akcji w nocy – wyznał nagle Młody. – No wiesz, z tym kwiatkiem. Przestraszyłem się, że może ktoś znalazł kawałek moich majtek i wzięli psa tropiącego, i on przyprowadził policję tutaj, za nami...

Zacząłem tak się śmiać, że prawie się zakrztusiłem.

– Psa tropiącego to mamy pod dachem, przepięknie wytropił wtedy twoje ciuchy – rzekłem z uciechą. – Wiesz, jak o ciebie dba?

– Ale śpi z tobą! – wytknął Młody ponuro. – U mnie nie chce.

– A jak ma do ciebie wejść, skoro zamykasz się w pokoju?!

– Oj tam, oj tam – burknął i nagle zamilkł, wpatrując się w coś z napięciem. Potem spojrzał na mnie i położył palec na ustach, gestem wskazując na okno. Spojrzałem w tamtą stronę.

Elf stał przy oknie na pufie, przednie łapy miał oparte o parapet i wodził wzrokiem za czymś, co łąziło po parapecie z drugiej strony. Był to okazały gołąb, dumnie przechadzający się za szybą. Pies przyglądał mu się uważnie, zaś gołąb najwyraźniej nie był świadom jego obecności, być może przez szybę nie był w stanie go zobaczyć?

Elf obejrzał się na nas i przysięgłbym, że na jego paszczy widnieje szeroki uśmiech. Niech ludzie mówią, co chcą, ale ja jestem zdania, że psy potrafią się śmiać, i właśnie to widziałem. Kąciki warg uniesione w górę, uchylony pysk... Najwyraźniej dobrze się bawił!

Napuszczony gołąb paradował tak ze dwie minuty, aż w końcu Elf przystąpił do akcji.

Szczeknął.

Raz, niezbyt głośno i króciutko. To wystarczyło. Gołąb zachwiał się i po prostu spadł z parapetu.

– O Boże! – kwiknął Młody, zrywając się z fotela. – Zemdłał chyba!!! Widziałeś to?!

Nie byłem w stanie odpowiedzieć, tak okropnie się śmiałem. Elf skakał koło mnie, merdając ogonem, najwyraźniej niezwykle z siebie zadowolony.

– Gdybym miał depresję, to słowo daję, że przy tym psie od razu by mi przeszło! – wydyszał Młody, rzucając się na dywan i rozpoczynając z uradowanym Elfem zabawę we wzajemne mordowanie się: najpierw Elf z okrutnym



warkotem zagryzał Młodego, potem zaś Młody zagryzał Elfa. Zabawę wymyśliłem jakieś dwa tygodnie temu i okazało się, że Młodemu też nadzwyczajnie się spodobała. Chociaż gdy za pierwszym razem ujrzał mnie i psa tarzających się po dywanie, oczy miał okrągłe ze zdumienia.

Taką samą minę miał zresztą, gdy kiedyś – ze skarpetkami na uszach – szczekałem na Elfa, udając spaniela.

– My nie jesteśmy normalni – wydyszał w trakcie zabawy, usiłując urwać Elfowi ogon, oczywiście na niby. – A ten pies idealnie się wkomponował w rodzinę, nie uważasz?

– Gdybyśmy byli normalni, byłoby to nudne – odparłem rozsądnie, patrząc na nich z przyjemnością. – Okej, nie długo dziewiętnasta. Idziemy do weterynarza, pamiętasz?





– Poprawił się! – ucieszył się weterynarz, przesympatyczny pan Mirek. – No proszę, dobra karma robi swoje! A jaki radosny, aż miło popatrzeć. No co, Elfie, podejdiesz do mnie?

Elf spojrzał na niego i podkulił ogon.

– Wiem, że tego nie rozumiesz – mruknął pogodnie lekarz. – Ale to wszystko dla twojego dobra. No, dziś będzie tylko jeden zastrzyk, ale dodatkowo chipowanie. Na jedno wychodzi. Będziesz gryzł?

Nikt nikogo nie ugryzł, ale lekko wstrząsnęła mną wiadomość, że po ostatnim zastrzyku trzeba ograniczyć psu kontakt z nieczystościami na trawnikach, w związku z czym należy zakupić... kaganiec.

Elf w kagańcu?!

Na szczęście sklep z artykułami zoologicznymi był tuż obok.

Weszliśmy, podszedłem do lady i spytałem o kaganiec dla zbója, którego z tyłu na smyczy trzyma mój syn.

– Tego zbója z kością? – upewniła się pani sprzedawczyni. Obejrzałem się z zaskoczeniem i stwierdziłem, że Młody wpatrzony jest w ekran swojego telefonu, zaś Elf trzyma w pysku potężną, wędzoną kość.

– Skąd on to wziął? – jęknąłem.

– Stamtąd – pani usłużnie wskazała na wielką michę, wypełnioną takimi właśnie kośćmi. Byłem zdania, że umieszczono ją tam specjalnie, by każdy pies wchodzący do sklepu był w stanie coś ukraść, a właściciel – za to

zapłacić. Nie powiedziałem tego jednak głośno, bowiem sprzedawczyni błyskawicznie znalazła piękny, skórzany kaganiec, wprost jakby stworzony dla Elfa.

Mnie się podobał, i owszem. Młody też stwierdził, że ładny. Pies natomiast miał zupełnie inne zdanie. Bez problemu dał sobie założyć nowy ekwipunek, ale gdy w końcu zrozumiał, że to ma zostać na pysku, to momentalnie zmienił podejście do sprawy. Próbował zdjąć kaganiec, ocierając pyskiem o róg lady. Potem spróbował łapą. Gdy i to się nie udało, to po wyjściu ze sklepu zaczął mściwie dźgać mnie uzbrojonym w kaganiec pyskiem w łydkę.

A potem bardzo szybko okazało się, że trzeba kupić nowy kaganiec.



Zastrzyk jakoś zniosłem. To drugie coś też zdzierzyłem. Zapach był nienawistny, jak zwykle. Ale najgorsze przyszło potem... Młody i Duży zaprowadzili mnie do sklepu, gdzie co prawda pachniało znakomicie i nawet posłusznie wybrałem coś dla siebie. Taką fajną, dużą, wędzoną kość. Mniamuśna!

Potem nastąpiło jednak całkowite upokorzenie. Założyli mi coś na pysk, nie protestowałem, bo myślałem, że – tak jak u weterynarza – będzie to krótkotrwała przykrość. Okazało się jednak, że to coś ma zostać na mnie!!!

O nie.

Na to nie pozwolę. Najpierw próbowałem zdjąć to na rozmaite sposoby jeszcze w sklepie. Dobrze chociaż, że Duży schował moją nową kość do torby, skoro nie mogłem wziąć jej w pysk. Ale na dodatek kazali mi wyjść w tym całym „kagańcu” na zewnątrz...! Przecież inne psy umrą ze śmiechu, gdy mnie w tym zobaczą! I jak tu zdobyć szacunek na nowym osiedlu?! Poza tym, gdyby któryś spróbował mnie ugryźć, to nawet nie miałbym szansy na żadną uczciwą walkę.

Po drodze nastąpiło jednak coś, przez co trochę zapomniałem o kagańcu. Od jednego z samochodów dobiegł zapach, który znałem już z naszej klatki schodowej. Ten taki niedobry zapach, który kojarzył mi się z weterynarzem, ale mimo wszystko odrobinę inny.

Warknąłem, przyczałem się, ale jednak w samochodzie nie siedział nikt, kto chciałby zrobić mi zastrzyk. A przynajmniej nikogo nie było widać. Podeszedłem ostrożnie, powąchałem zderzak, ale najbardziej intensywnie zapach dobiegał z tyłu, od strony bagażnika. Warknąłem znowu, a sierść sama uniosła mi się na grzbiecie. Duży i Młody patrzyli na mnie przez chwilę i mówili o czymś, czego nie rozumiałem. Potem poszliśmy dalej.

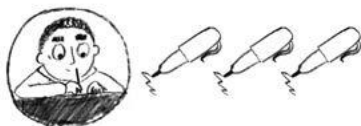
Chciałem wąchać, coś może i zjeść, a tu znowu ten kaganiec...! Zbawieniem okazał się żywopłot. Po przejściu przez parking poczułem bowiem jakiś fajny zapach z krzaków – może jakiś człowiek wyrzucił tam coś interesującego? Wsadziłem między gałęzie łeb w kagańcu, węszyłem, a Duży – jak zwykle – pozwalał mi na to bez przeszkód. Młody na spacerach był zdecydowanie bar-

dziej niecierpliwy, no ale teraz obok był Duży i racja była po mojej stronie, ha!

I raptem okazało się, że podczas wyciągania łba z krzaków kaganiec o coś się zaczepił i został wśród liści.

He, he, i kto tu jest górą?

Czestaw i Młody



Parę dni później ktoś miał szczęście, a ktoś inny – pecha. Wracaliśmy akurat z supermarketu, mijając śmieciarkę. Pracownicy opróżniali właśnie ostatni pojemnik do paki, a potem kłapa powolutku zaczęła się zamykać.

Nie miałem pojęcia, co takiego mogło to spowodować, ale dokładnie wtedy Elf dosłownie dostał szału. Piszcząc żałośnie, szczekając rozpaczliwie, rzucał się na smyczy w kierunku śmieciarki. Usiłowałem go uspokoić i pociągnąć za sobą w stronę domu, ale nie dało się tego zrobić w żaden sposób. Psia rozpacz była tak wyraźna, że w końcu zwątpilem.

– Panowie! – wrzasnąłem, starając się przekrzyczeć warkot silnika. – Co wy tam macie?!

Jeden z pracowników spojrzał na mnie jak na wariata.

– Śmieci – odparł łagodnie, ostrożnie podchodząc bliżej. – Chyba widać. A co?

– A właśnie nie wiem – rzekłem, stropiony, wskazując na rozpaczającego Elfa. – Pies uważa, że tam jest coś jeszcze. Wcześniej nigdy się tak nie zachowywał.

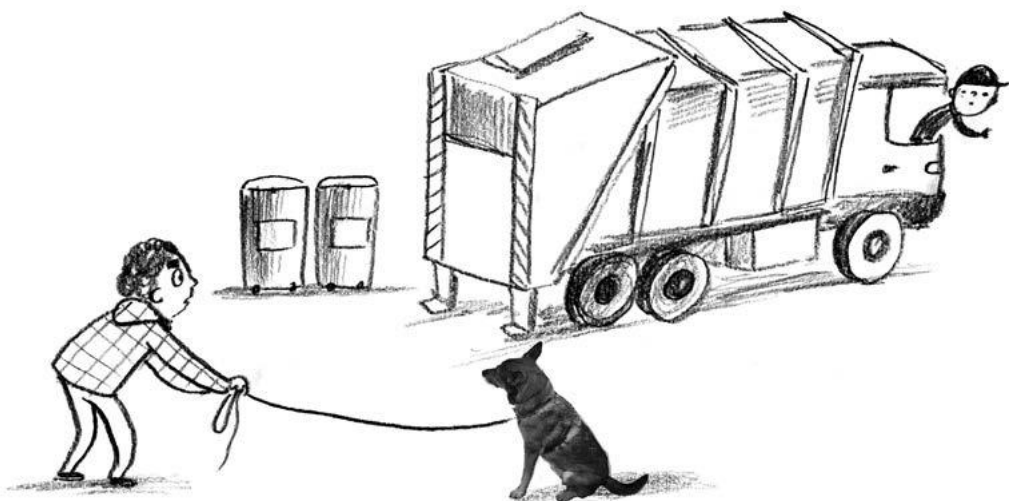
– Może poczuł coś smakowitego? – prychnął facet i najwyraźniej przymierzał się do wejścia do kabiny pojazdu. – Ludzie różne rzeczy wyrzucają, wie pan.

Wtedy Elf zawył – tak głośno i żałośnie, że coś we mnie pękło.

– Panie, czekaj pan! – wrzasnąłem znowu, drżącymi rękami sięgając po portfel. – Ja panu stówę dam, ale niech pan to otworzy jeszcze raz! Tam na bank coś jest!

– Zwariowałeś – rzekł Młody półgłosem, co dosłyszałem jedynie dzięki temu, że pracownik po moich słowach momentalnie wyłączył silnik i wstrzymał dociskanie klapy.

– Może i zwariowałem, ale to się okaże – wymamrotałem, podczas gdy facet podejrzliwie oglądał banknot.



W końcu zerknął na mnie jakby ze współczuciem, wzruszył ramionami, pogmerał przy desce rozdzielczej ciężarówki, a kłapa zaczęła się na powrót otwierać.

I wtedy... Skądś, spod kłapy, spomiędzy worków, z rozpaczliwym, żalonym miaukotem wyskoczyło coś burego, pręgowanego i smyrgnęło w krzaki przy bloku. Elf momentalnie umilkł, usiadł, wywiesił jęzor i zaczął dyszeć, patrząc na nas z wyraźnym zadowoleniem. Potem wstał i wyciągnął nos w stronę krzaków, węsząc z napięciem.

– Czesław...! – wykrzyknąłem z ogromnym zdumieniem. – A niech mnie gromy biją, Elf uratował Czesława!

– Tego kota?! – zdumiał się facet od wywozu śmieci, a jego kolega stanął obok i zaczął drapać się po głowie, kręcąc nią ze zdumieniem.

– Nic mu nie jest? – spytał Młody z niepokojem, podchodząc do krzaków i rozglądając się uważnie. – Może go zgmiotło...?! Hej, Czesław! Kici, kici!

– Gdyby go zgmiotło, nie wystrzeliłby stamtąd z taką energią – rzekł trzeźwo pierwszy pracownik. Potem zawahał się, skrzywił i wyciągnął ku mnie dłoń, w której trzymał wzięty ode mnie banknot. – Niech pan to zabierze – rzekł z westchnieniem. – Wie pan, ja też mam kota. Psa zresztą również. W życiu nie przełknąłbym niczego, co bym za to kupił. Dobry człowiek z pana, a za tego psa to niech pan Bogu dziękuje!

– Raczej niech Czesław mu dziękuje! – roześmiałem się. – Biedny kociak. Pewnie siedział w kontenerze i żarł coś, a tu nagle go wciągnęło. Dobrze, że tak się to skończyło...



Chyba nawet nie zdążyliśmy ochłonąć na dobre po akcji z Czesławem, gdy nagle, po wejściu na dziedziniec, zobaczyliśmy coś strasznego. Może nie dla mnie, choć w sumie w pewien sposób też to bardzo boleśnie odczułem: przed sąsiednią klatką schodową stała Kara... przytulona do jakiegoś chłopaka i głaszcząca go po włosach.

– Młody, tylko spokojnie – mruknąłem, czując zarazem, jak serce mocniej bije mi z nerwów. Bo doskonale wiedziałem, jak w tej chwili musiał czuć się mój syn.

– Jestem spokojny – rzekł bezbarwnie Młody, wpisał kod na domofonie i błyskawicznie weszliśmy do naszej klatki schodowej. – Jestem absolutnie spokojny. Tylko po co ona pisała to wszystko...

Zaraz, zaraz! Pisała? O tym nic nie wiedziałem! Ale doskonale rozumiałem, że Młody ma prawo do prywatności i niekoniecznie musi się dzielić wszystkimi przeżyciami ze swoim nudnym ojcem.

Nic więcej nie mówiłem, tylko błyskawicznie odgrzałem pomidorową, obrałem i wstawiłem ziemniaki, po czym umieściłem w piekarniku kurczaczę udka z przyprawami. Pokroiłem nawet ogórki na mizerię!

Czyli wszystko to, co Młody uwielbiał po prostu w najwyższym stopniu.

Gdy mój syn, jedząc zupe, zaczął wyglądać tak, jakby właśnie zadławił się makaronem – nie wytrzymałem.

– No dobrze – westchnąłem. – Mogę być tępy i nie umieć pisać horrorów. Ale bez problemu dostrzegę, że masz doła, bo jesteś moim synem i znam cię od piętnastu lat. Masz doła.

To nawet nie było pytanie, tylko stwierdzenie faktu.

– Mam – odparł posępnie Młody, siorbiąc pomidorową. – No i co z tego?

– To z tego, że się martwię – oświadczyłem, zgrzytając zębami. – Co ci pisała Kara, wcześniej? Zanim zobaczyliśmy... no, to co zobaczyliśmy?

– Nie chcę o tym mówić.

– Ale ja chcę usłyszeć – rzekłem stanowczo. – Razem damy radę, tak?

To było nasze „hasło współpracy” już od dawna. Chyba od czasu, gdy zabrakło mamy Młodego.

Przewrócił oczami i głęboko westchnął.

– I jak pomożesz? – spytał ponuro. – Zrobisz czarymary i ona przyjdzie do mnie?

– Na pewno nie – mruknąłem. – Nawet gdybym mógł, to i tak bym tego nie zrobił. Nie chciałbym, by mój syn miał wybrankę zdobytą nieuczciwie. Ej, Młody, no mówże! Lżej ci się robi na duszy, zobaczysz...!

Długą chwilę się wahał, łyżka z zupą zawisała w powietrzu; potem jednak się przełamał.

– Pisała, że jestem fajny. Potem, że jej się podobam. I że jestem taki wrażliwy, a ona to lubi. I tyle razy jeszcze potem... Czy wyjdę z Elfem, czy pójdziemy razem, czy coś tam...

– O kurde! – mruknąłem, wstrząśnięty, bo w oczach Młodego dostrzegłem łzy.

No ale jeśli dziewczyna pisze takie rzeczy, wymowne i dające do myślenia, to znaczy chyba, że traktuje chłopaka poważnie, prawda? A tu takie coś: przytula i głaszcze innego?!

Nie rozumiałem tego kompletnie, absolutnie, ale przyszło mi do głowy, że młodzież jest teraz trochę inna niż za moich „młodych” czasów, więc...? Może i sygnały są teraz inne, a ja niewłaściwie wychowałem Młodego, według jakichś przestarzałych standardów?!

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Wstałem i przytuliłem go mocno.

– Życie – szepnąłem tylko. – Młody, to po prostu jest życie...

– Idę do siebie – rzekł cicho Młody, gdy skończył jeść. – Chcę być sam, dobra?



– Rozumiem – westchnąłem ciężko, gdy wychodził z kuchni. – Pamiętaj, jestem obok, jakby coś.

– Pamiętam – odparł jakoś tak bezradnie, zawahał się, po czym zniknął w swoim pokoju i zamknął drzwi.

Nastę **rozjaśnienie** sytuacji



Trzy następne dni nie były dla nas najlepsze. Młody ciągle był przygnębiony, nie odbierał esemesów – a przynajmniej kasował te, które dostawał od Kary, to udało mi się zauważyć, ale nie pytałem go o to. Jego sprawa, choć i mnie było z tym wszystkim źle.

Ale że dalej pisała do niego? To było trochę dziwne. No cóż, widać dzisiejsze nastolatki mają trochę inne wyzucie sytuacji, niż bywało to kiedyś... Albo po prostu nie zauważyła, że Młody widział ją, gdy ścisnęła tamtego chłopaka i liczyła, że będzie jak dawniej.

Mnie było żal Młodego przede wszystkim dlatego, że wiedziałem, jaki z niego dobry dzieciak. I że jego pierwsza „dojrzała” fascynacja kończy się właśnie w taki niedobry sposób. Pół biedy, gdyby powiedziała mu, że nie chce go znać albo woli, by byli wyłącznie na stopie koleżeńskiej. Dałoby się to jakoś przeżyć i wytłumaczyć. Ale takie coś, niejako za plecami...? To nie była dobra rzecz.

Po południu Młody dalej tkwił zamknięty w swoim pokoju. Była sobota, więc uszanowałem to. Wziąłem Elfa i poszedłem na spacer.

Gdy już zbieraliśmy się do powrotu, tuż obok górki, przy której zazwyczaj rzucałem mu patyki, spotkałem dość młodą kobietę, która prowadziła na smyczy psa wyglądającego dokładnie jak Linda. Elf momentalnie się na nią obruszył, znaczy się na psa, nie na właścicielkę. I to mi dało do myślenia.

– Dzień dobry, czy to jest może Linda? – spytałem pogodnie. – Bo jeśli tak, to psy się znają.

– Linda! – przytaknęła sympatyczna pani. – Ach, pewnie poznały się, gdy córka z nią wychodziła...

– Pewnie tak – rzekłem, wiedząc, że córkę poznał raczej mój syn niż ja. – A ona nie ugryzie? Bo już wiem, że Elfa niespecjalnie lubi.

– Nie ugryzie! – roześmiała się pani. – Tym bardziej, że muszę wracać do domu, bo akurat bratanek jest u mnie...

– A on co? – spytałem ostrożnie, biorąc Elfa krótko na smyczy i idąc obok niej. – Malutki pewnie i nie można bez opieki zostawić?

– Duży – westchnęła ciężko. – Ma czternaście lat, tylko jest trochę... opóźniony. A do tego ma zespół lękowy. Chłopak sporo przeszedł. Został u mnie na kilka dni, bo brat musiał służbowo lecieć za granicę. Zgodziłam się od razu, bo Dawid to naprawdę kochane dziecko. Tyle że wymaga dużo troski.

Coś mi zaświtało w głowie.

– Podobno w takich wypadkach, oczywiście oprócz terapii, pomaga zwyczajne przytulenie – rzekłem ze współczuciem, które naprawdę czułem. – I wtedy jest łatwiej.

– No i właśnie tak robimy – rzekła beznadziejnie pani Lindy i zarazem mama Kary. – Ale z nas wszystkich, z całej rodziny, moja córka ma na niego najbardziej pozytywny wpływ. To jest ciężkie do zrozumienia, wie pan...?

– Mniej więcej – odparłem, naprawdę trochę to rozumiejąc. Chyba nawet bardziej, niż przypuszczała. – Więc trzeba go przytulić, by było dobrze... No tak. Czytałem o takich przypadkach. I parę nawet widziałem.

Spojrzała na mnie ze zdumieniem, ale o nic więcej nie spytała. I w sumie byłem jej za to wdzięczny. Bo bardzo nie lubiłem wspominać przy ludziach swoich spotkań z chorymi dziećmi w szpitalach.

Zwyczajnie, zbyt miękkki na to byłem. Krzywda i cierpienie dzieci lub zwierząt sprawiały, że od razu się wzruszałem, a w oczach zaczynało być mokro. Jednak nic nie mogło przebić chwili, gdy po kilkunastu minutach naszego spotkania na tych bladych, wymęczonych buźkach zaczynał pojawiać się uśmiech...



Młody leżał na kanapie w salonie, a Elf – wyciągnięty obok i wtulony w jego bok – pracowicie wylizywał mu ucho. Po raz kolejny zaskoczyło mnie, jaką ten pies ma nie-

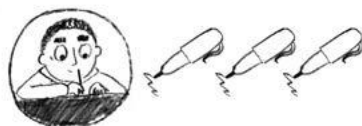
samowitą intuicję! Niemal od samego początku wiedział, gdy któryś z nas był smutny. Wtedy stawał się niespokojny i ewidentnie próbował nas pocieszyć: przynosił swoje zabawki do rzucania, zupełnie jakby chciał odwrócić naszą uwagę od złych myśli. Po swojemu starał się pomóc, jak umiał. Teraz zaś widząc, że Młody potrzebuje ciepła i bliskości – po prostu fenomenalna ocena sytuacji!



Stałem przez długą chwilę i patrzyłem na nich, czując jakiś dziwny uścisk w sercu. Młody czytał akurat tomik Szymborskiej, znałem doskonale tę okładkę. Elf obejrzał się, zobaczył mnie i zamachał ogonem. Ale został przy Młodym.

Chciałem pogadać z synem od razu. Ale najwyraźniej to nie była dobra chwila. Postanowiłem poczekać do wieczora. Jednak wydarzenia, które nastąpiły potem, odwlekły naszą rozmowę do późnej nocy.

Śledztwo - część I



Było około dwudziestej. Szedłem z Elfem w stronę łąk – może pora faktycznie była zbyt późna na taki długi spacer, ale trudno. Najwyżej wrócimy wraz z nadejściem ciemności.

Nie dotarliśmy jednak nawet do działek, przez które trzeba było przejść, by dojść do torów kolejowych i na łąki. Przy bloku obok parkingu dostrzegłem radiowóz, a chwilę później znajomy głos zawołał:

– Dzień dobry, panie Marcinie!

Był to aspirant Polański, który machnął do mnie dłonią, powiedział coś do swojego umundurowanego kolegi, po czym ruszył przez trawnik w moją stronę. Co u licha, kolejne włamanie?!

Spotkaliśmy się w połowie drogi, na trawiastym boisku, pomiędzy bramkami.

– Może po prostu weźmie pan ode mnie i syna odciski palców – rzekłem zrezygnowany. – Będzie prościej...

– Niech pan da spokój – skrzywił się. – Jakoś nie widzę pana w kręgu podejrzanych. Ale muszę przyznać, że złodziej stał się wyjątkowo bezczelny. Tym razem to wszystko musiało stać się w biały dzień!

– Piwnica?

– Żeby tylko jedna... Trzy, obok siebie. W sumie to wiadomo, że nikt nie trzyma w piwnicach biżuterii ani gotówki, ale znikają inne rzeczy: sprzęt narciarski, starocie rozmaite... A nigdy nie wiadomo, czy wśród gratów się jakiś antyk nie znajdzie. Typ nie jest wybredny, ale dziś na przykład zniknęły cztery pary butów narciarskich warte w sumie ponad trzy tysiące złotych. A to już boli.

– Każdego by zabolalo – mruknąłem, w duchu dziękując Bogu, że w mojej piwnicy znaleźć można jedynie słoiki z babcinymi konfiturami, stare biurko, zdecydowanie zbyt trudne od wyniesienia, z którym nie umiałem się jakoś rozstać, choć w ogóle nie pasowało do wystroju nowego mieszkania. Było też trochę gratów należących do Młodego, ale nie przypuszczałem, by znalazło się wśród nich coś, co mogłoby zainteresować potencjalnego złodzieja.

Prawdę mówiąc, gdyby coś z tego zniknęło, to najbardziej zabolalaby mnie strata konfitur.

– Co on robi? – spytał nagle pan Maciek, patrząc na Elfa.

Zerknąłem w dół i z zaskoczenie ujrzałem, że pies stoi sztywno, wpatrzony w stronę klatki schodowej i radiowozu, na karku ma sztywno nastroszoną sierść, zaś z gardła wydobywa się cichutki, głuchy, groźny warkot.

– Coś wyczuł – rzekłem odruchowo, po czym nagle zaczęło mi coś świtać. Zamyśliłem się i podrapałem po głowie. – Zaraz, niech pan poczeka... Tak samo warczał wtedy, gdy włamano się do naszej klatki schodowej. To

znaczy do piwnicy u nas. Identycznie. Ale podobnie warczy w pobliżu gabinetu weterynaryjnego.

– I gdzie jeszcze? – spytał z napięciem pan Maciek, przyglądając się Elfowi. – Bo jeśli często tak robi, to nie mam dalszych pytań.

– Właśnie nie, wcale nie często! – zaprzeczyłem. – Teraz tutaj, wtedy u nas w klatce, poza tym u weterynarza, ale czy gdzieś jeszcze... Była jeszcze jedna sytuacja, ale w tej chwili, niech mnie pan zabije, nie pamiętam...

– Jeśli można, chciałbym to załatwić bez przemocy – rzekł aspirant z westchnieniem. – Podejdzie pan z nim bliżej?

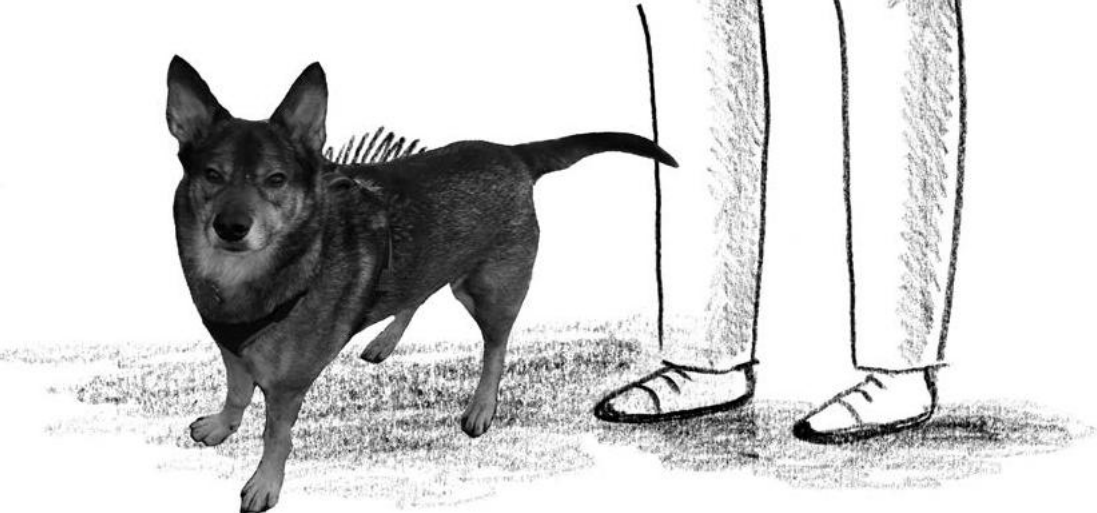
Poszliśmy w stronę klatki schodowej i radiowozu. Elf szedł na ugiętych łapach, raz spojrzał na mnie pytająco, ale uspokajająco poklepałem go po grzbiecie. Potem pokreślił się dookoła, wyciągnął nos w stronę drugiego, małego parkingu, doprowadził nas do jednego z pustych miejsc i usiadł.

– A to ciekawe – mruknął policjant. – Nawet bardzo. Choć w sumie można było się tego spodziewać.

– Czyli czego? – spytałem, lekko zirytowany faktem, że obcy człowiek jest w stanie wyczytać z reakcji mojego psa więcej niż ja. – Co to znaczy? Złodziej odjechał samochodem?

– Dokładnie tak. Szkoda tylko, wielka szkoda, że nie ma tu dobrego monitoringu...

– Przecież u nas na dziedzińcu są kamery! – wykrzyknąłem, nagle olśniony. – Wystarczy sprawdzić zapisy!



– Sprawdziliśmy – westchnął pan Maciek. – Owszem, widać ciemną sylwetkę w ciemnej bluzie i z ciemną torbą. Wzrost co najmniej metr dziewięćdziesiąt pięć, nasz ekspert od analiz filmów stwierdził to bez najmniejszych wątpliwości. Między innymi dlatego wykluczyłem pana z naszej listy. Po prostu wyszedł z waszej klatki, ruszył w stronę bramy i zniknął z pola widzenia kamer. I koniec. Pewnie wtedy też wsiadł do samochodu i odjechał. A gdyby kamery były tutaj, mielibyśmy przynajmniej markę i model auta, pewnie też kolor, a przy odrobinie szczęścia nawet tablice rejestracyjne...



– Gdzieś ty był tak długo?! – wykrzyknął ze zgrozą Młody, gdy wróciliśmy wreszcie z łąk i weszliśmy do mieszkania. – Ja tu się zamartwiam...!

– To czemu nie zadzwoniłeś? – zdumiałem się, zdejmując Elfowi szelki. – Telefon mam przy sobie.

– A ładowałeś go w ciągu ostatniego tygodnia? – spytał złowrogo. – Bo mnie się coś zdaje, że jednak nie...

Faktycznie, telefon był rozładowany i wyłączony.

– Oj tam, oj tam – bąknąłem, podłączając go do ładowarki. – Przepraszam. Może nie słyszałem, że znowu chce jeść, gdy był w kieszeni. No, włącz się wreszcie! Dobry prądzik, smaczny prądzik... Aha, znowu było włamanie do piwnic.

– Kupię ci przenośny generator prądotwórczy – mruczał Młody gniewnie, idąc do kuchni i sypiąc Elfowi żarcie do miski. – Albo dwie dodatkowe baterie... Czekaj, no nie! Znowu?!

– Co znowu? – spytałem zdumiony. – Żadnych baterii mi do tej pory nie kupowałeś!

– Włamanie znowu!

– Aaa – zrozumiałem. – No, było. I Elf pokazał policji, że złodziej odjechał samochodem. Bo warczał.

– Skoro jeszcze warczał, to można go chyba było zatrzymać?

– Elfa...?

– Samochód!!!

– Samochód nie warczał już! – jęknąłem. – Odjechał przed przyjazdem policji. To Elf warczał! Sam wiesz jak, zupełnie tak samo jak u weterynarza. Postawił szczotkę na grzbiecie i warkotał okrutnie. Tak samo warczał wtedy, gdy u nas się włamali. I chyba jeszcze gdzieś.

– No, jeszcze gdzieś – Młody w zamyśleniu rozwihrzył swoją płową czuprynę, a mnie nagle przyszło do

głowy, że dobrze znowu widzieć go ożywionego, a nie przygnębitego. O właśnie, przecież trzeba z nim będzie pogadać o tym Dawidzie!

– Owarczał samochód – oświadczył nagle Młody z błyskiem w oku. – Wtedy gdy wyszliśmy od weterynarza. Pamiętasz?

– Nie pamiętam – odparłem zgodnie z prawdą. – Wtedy to znaczy kiedy? Bo parę razy byliśmy u weterynarza.

– Wtedy gdy kupiliśmy kaganiec – odparł Młody niecierpliwie. – Ja ci chyba jakąś lecytynę zafunduję. Albo w ogóle geriavit. Sam żartowałeś, że pewnie wyczuł zwłoki w bagażniku! No, rusz mózgowicą!

– Ach...!!! – nagle jak błysk wróciło to wspomnienie. – No jasne, że pamiętam! To było pod tamtym blokiem, obok sklepiu z odzieżą...



– Ale auta nie pamiętam jakoś – mruknął z przygnębieniem. – A ty?

– Srebrne było chyba? – spytałem niepewnie. – Nie, ani marki, ani modelu nie pamiętam. Tylko kolor, ale też chyba. Więc co?

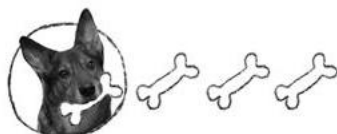
– Więc idziemy na kolejny spacer.

– Teraz?!

Młody spojrzał w stronę kuchni.

– Nie, gdy Elf skończy jeść – odparł rozsądnie. – Nie wolno rozpraszać się podczas jedzenia, zawsze mi to powtarzasz. A ten pies jest bardzo żywotny i ma zdiagnozowane ADHD, więc przyda mu się trochę ruchu dodatkowo.

Sledztwo - część II



Ha! Nie dość, że byliśmy znowu na łąkach na takim super dłuuuugim spacerze, Duży przez ponad godzinę rzucał mi patyki, znalazłem zdechłego zająca, którego od razu mi odebrał i zabronił mieć z nim do czynienia, to jeszcze goniłem kaczki! I prawie dogoniłem jedną, ale odleciała. Fajnie mają te kaczki, skrzydła to pożyteczna rzecz. Chociaż tamtemu gołębiowi za oknem jakoś nie pomogły. Zwyczajnie spadł.

Ale należało mu się! Ośmielił się chodzić po naszym parapecie, uch!

Wróciliśmy do domu, dostałem jeść, a potem... Po-
tem Duży znowu założył mi szelki i poszliśmy na jeszcze
jeden spacer! Nie, nie mogę w to uwierzyć! Jak oni muszą
mnie kochać, skoro tak szybko dali się dobrze wychować!

Nie spodobało mi się tylko to, że znowu poszliśmy
w stronę, gdzie znajdował się gabinet weterynarza.
A może o tej porze będzie już spał i nie będzie mu się
chciało robić mi zastrzyków?

Chodziliśmy jednak jakoś bezsensownie. Zamiast na
górkę, by rzucać mi patyki, to Duży i Młody kręcili się –
wraz ze mną – między samochodami. Chyba jednak mają
jeszcze pewne braki w wychowaniu, trzeba będzie to nad-
robić. Ech, ci ludzie wcale nie są tacy łatwi do wychowa-
nia, jak twierdzi Tajga.

Zaczęło mnie to już nudzić, obsikałem ze trzy opony,
ale wtedy, nagle, poczułem od jednego z aut ten nielu-
biany zapach. I znowu sierść sama mi się podniosła na
grzbiecie, podszedłem do niego na ugiętych łapach...

Uch, pachniało prawie jak weterynarz!

Ale tylko prawie.



– I co mam teraz zrobić? – spytałem nerwowo, gdy
wracaliśmy do domu. – Bo chciałem też z tobą poważnie
pogadać, ale to musi być na spokojnie. A teraz nie jest
spokojnie.

– Czy ja znowu...

– Nie, żadne znowu! – wykrzyknąłem z rozpaczą. – Błagam, nie jestem potworem! Czy ciągle się ciebie czepiam o coś, coś każę, no może oprócz odrabiania zadań domowych...? Ale nawet i w tym czasem ci pomagam!

– Chciałem spytać, czy ja znowu spowodowałem, że jesteś niespokojny – powiedział Młody cicho. – Bo wiem, że się mną przejmujesz i że się troszczysz. A te ostatnie moje sprawy też ci nie pomogły. Od tygodnia nie napisałeś nawet słowa...

– Skąd wiesz? – zdumiałem się odruchowo. – Przecież nic o tym nie mówiłem?

– Każdy plik zapisujesz na Dropboksie – westchnął Młody. – Sam dałeś mi hasło rok temu, bym mógł czytać na bieżąco to, co piszesz, i zgłaszać ewentualne uwagi. Może w to nie wierzysz, ale ja lubię to, co piszesz. I sprawdzam regularnie. A od tygodnia nowa książka nie ruszyła z miejsca nawet jednym słowem...

Do diabła! To mi nie przyszło do głowy.

Zatrzymałem się w miejscu, było to akurat pod dużym drzewem nieopodal bramy na nasz dziedziniec.

– Uwielbiam cię, Młody – rzekłem poważnie, po czym przytuliłem go mocno, mocno. Nawet się nie wzbraniał, odwzajemnił uścisk nadspodziewanie chętnie.

– Brakowało mi tego – rzekł głosem stłumionym przez mój obojczyk. – Jesteś fajnym ojcem, wiesz?

– No, mam nadzieję...

Kątem oka dostrzegłem wtedy Panią Sąsiadkę, która Bóg jeden wie skąd wracała do domu o tej porze. Zerk-



nęła na nas, prawie się potknęła, gdy nas rozpoznała, po czym gwałtownie przyspieszyła kroku.

– Czy to była...

– Tak – odparłem stanowczo. – Pewnie nie będzie spała po tym, co zobaczyła. A jutro napisze co najmniej nowy thriller, teraz ma pole do popisu. Idźmy do domu, Młody. I na spokojnie zastanówmy się, co powinniśmy zrobić.



– Napisałeś? – spytał nerwowo Młody, zaglądając mi przez ramię, czego okropnie nie lubię. Zwłaszcza gdy piśszę do kogoś esemesa.

– Napisałem – odparłem posłusznie. – O tej porze nie chciałem dzwonić, sam rozumiesz. Może facet zwyczajnie poszedł już spać?

Jak się okazało, facet nie poszedł jeszcze spać. I był wyraźnie zainteresowany tym, co mu napisałem w wiadomości. Oddzwonił chwilę później.

– Dobry wieczór! – rzekł z rozdzierającym ziewnięciem, co było do zrozumienia, biorąc pod uwagę tę późną godzinę. – Ma pan coś nowego, jak rozumiem?

– Stanowczo – ucieszyłem się z jego ludzkiej reakcji na tak późną próbę kontaktu. – Pamięta pan ten warkot Elfa?

– Nie sposób go zapomnieć – mruknął po drugiej stronie pan Maciek. – W życiu bym nie chciał, by warczał tak na mnie.

– To akurat proste. Wystarczy, że nie będzie pan weterynarzem.

– Da się zrobić, bo nie wyobrażam sobie innej pracy niż w policji! – roześmiał się i znowu ziewnął. – I co?

– I dużo! – wykrzyknąłem, podekscytowany. – Mój syn przypomniał sobie jeden z poprzednich warkotów.

– I zawarczał tak jak pies wtedy, czy co...? – spytał policjant sennie. – To trochę za mało.

– Oj tam – zezłościłem się. – Źle się wyraziłem. Przypomniał sobie, gdzie ten warkot był! I poszliśmy tam, właśnie wróciliśmy. Warczał wtedy na samochód.

– Na samochód, mówi pan? – pan Maciek jakby się ożywił. – A jaki to był samochód?

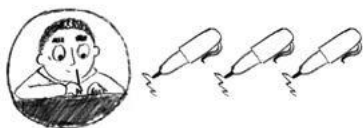
– Srebrny volkswagen golf, wersja kombi, nawet mam numery – rzekłem z satysfakcją. – Nie wiem, czy to

panu w czymś pomoże, ale zawsze można spytać mieszkańców tamtych okradzionych bloków, czy widzieli to auto gdzieś w pobliżu...

– Poproszę te numery – rzekł absolutnie poważnym i bynajmniej nie sennym głosem. Gdy zaś podyktowałem mu numer rejestracyjny auta, był wręcz wniebowzięty. – Świetna robota! Niech pan pogłaszcze ode mnie Elfa. I ucałuje w nos. A ja już przekazuję sprawę dalej...

Uznałem, że zamiast pocałunku w nos Elf zdecydowanie bardziej doceni garstkę surowej wątróbki. I, oczywiście, miałem rację.

KOLEJNE ROZJAŚNIENIE SYTUACJI ORAZ MAŁY NOCNY DRAMAT



– Co ja mam teraz zrobić?! – jęczał Młody, waląc głową w oparcie kanapy. Oparcie na szczęście było miękkie, toteż nie starałem się interweniować, ale jego dylemat był jak najbardziej rzeczywisty. – Ona teraz ma mnie za jakiegoś nieczułego debila, który nagle ma ją w nosie, bo... bo...

– No właśnie, bo? – odważyłem się spytać.

– Bo na przykład poznałem inną!!! – wykrzyknął rozpaczliwie, tuląc twarz do poduszki. – Tak bym sobie pewnie pomyślał na jej miejscu. A przecież nie poznałem



żadnej innej! No zrób coś, proszę! Napisałeś *Licencję na zakochanie*, jesteś ekspertem, miałeś żonę i parę dziewczyn wcześniej, masz syna! Pomóż!!!

– O Boże!!! – jęknąłem równie rozpaczliwie, bo nagle poczułem się ogłuszony i przytłoczony tym, co usłyszałem przed chwilą. Po czym zacząłem gorączkowo myśleć. – Czekał, najpierw trzeba się uspokoić.

– Więc po co mieliśmy rozmawiać na spokojnie?! Żeby i tak od razu się znowu zdenerwował?!

– Nie, żebym ja był bardziej spokojny – odparłem zgryźliwie. – O proszę, czy zaczynam być złośliwy?

– Bardzo dobrze – oświadczył Młody, a oczy mu się zaświeciły. – To znaczy, że wracasz do normy. Mów dalej!

– Ja tu nic nie pomogę – mruknąłem, trochę się uspokoiwszy. – Teraz to jest twoja działka. Niestety, Młody, ale to ty musisz jej wytłumaczyć, na czym polegał problem. I to jak najszybciej. Bo wiesz, najgorzej jest, gdy

jedna strona myśli, że zrobiła coś złe. Druga strona zaś ma na myśli coś zupełnie innego. Nieporozumienie wisi w powietrzu, staje się faktem, a potem dobre stosunki między dwojgiem ludzi biorą w łeb. Cała sztuka udanego związku to umieć ze sobą rozmawiać. Na bieżąco. Coś się dzieje – gadasz. Czegoś ci brakuje – gadasz. Coś cię martwi – gadasz! I czegoś się boisz – też gadasz od razu! No i przede wszystkim mówisz też o tym, że jesteś szczęśliwy. To równie ważne.

Młody zmarszczył brwi i zaczął przyglądać mi się niepewnie.

– Znaczy się, że jeśli teraz dałem ciała i nie odpisywałem jej przez ponad tydzień, to mam jej napisać, że to była pomyłka i proszę, by mi wybaczyła? – spytał w końcu niepewnie. – I to wystarczy?

– Nie! – rzekłem stanowczo, zgrzytając zębami. – Powiedziałem „gadasz”, a nie „piszesz”! Masz na nią, do jasnej anielki, czekać przed klatką schodową i wręczyć jej bukiet róż! I czekoladki. Zresztą nie wiem, co lubi. I od razu zaprosz ją na spacer, i wszystko wytłumacz NA ŻYWO, a nie esemesem czy przez telefon! Ona musi spojrzeć w twoje oczy, by zrozumieć, że mówisz prawdę, do licha! Nie na zdjęciu, ale naprawdę!

Otworzył usta i od razu je zamknął z głośnym kłapieniem.

– Mam lepszy pomysł – rzekł z nagłym błyskiem w oku. – Tylko będziesz musiał mi trochę pomóc.



– Nie wiem, dlaczego się w ogóle na to zgodziłem – burczałem o drugiej nad ranem, choć burczenie szeptem nie było łatwe. – Zobaczysz, kiedyś nas złapią. Mnie zamkną w więzieniu, a ty pójdziesz do domu poprawczego...

Młody mocował na sobie uprząż, ja kończyłem wiązać linkę do znanego mi już komina, czy też wywietrznika – diabli wiedzą, co to było naprawdę.

– Nie desperuj – skarcił mnie Młody. – Bo przestajesz być fajny. Wyluzuj trochę, nikt nas nie złapie!

W sumie cieszyła mnie jego pewność siebie, ale jest takie powiedzenie o wilku, który nosił razy kilka...

No i w końcu Młody przeszedł przez krawędź dachu i pojechał w dół. Tym razem miał ze sobą kopertę foliową z płytą DVD, na której wypalił nagranie z kamery. Co na nim było – nie wiedziałem, nagrywał to w swoim pokoju przez prawie dwie godziny, a potem montował nagranie na komputerze. Z westchnieniem uznałem, że to wszystko wymagało znacznie więcej wysiłku niż zwykajne poczekanie na Karę pod klatką schodową i rozmowa. Choć, oczywiście, rozmowa też ich czekała, o ile dziewczyna w ogóle zrozumie i wybaczy mu jego ostatnie milczenie. Miałem tylko nadzieję, że w natłoku emocji przebiję im się przez to wszystko odrobina zdrowego rozsądku.

Rozmyślając o tym wszystkim i patrząc w rozgwieżdżone niebo, poczułem nagle dwa szarpnięcia linki, co przywołało mnie do rzeczywistości. Zacząłem wciągać Młodego, nie czując tym razem żadnego podejrzanego oporu oznaczającego, że po raz kolejny zostawia swoją bieliznę na czyjejs antenie.

Jak się okazało, radość była przedwczesna.

Gdzieś z dołu dał się słyszeć gwałtowny trzask otwieranego okna i straszliwy krzyk.

– Zboczeniec!!! – darła się wniebogłosy jakaś kobieta. – Maniak!!! Ratunku, ludzieee!!!

Pociągnąłem znacznie gwałtowniej, mamrocząc rozpaczliwie pod nosem jakieś mało cenzuralne słowa. Sekundę później Młody chwycił krawędź dachu, podciągnął się i momentalnie stanął koło mnie. Błyskawicznie złapał plecak z ekwipunkiem, jednocześnie zwijając linkę. Drżącymi dłońmi odwiązałem jej drugi koniec od komina, po czym ze zgrozą ujrzałem, że w otwartym włączniku dachowym robi się jakby jaśniej. Ktoś włączył światło na klatce schodowej...!

Kobieta ciągle krzyczała.

– Zboczeńcy na dachu! – informowała wszystkich słuchających, budząc tych, którzy jeszcze nie słuchali. – Podglądali mnie! Ludzie, policję wezwijcie!!!

Gdzieś z dołu słyszeć było trzask kolejnych otwieranych okien i następne ludzkie głosy. Stałem osłupiały, kompletnie nie wiedząc, co robić, ale wtedy Młody pokazał klasę.

– Na koniec dachu! – syknął, ciągnąc mnie za rękaw. – Szybko!!!

Potknąłem się o coś, stwierdziłem, że to moja wyłączona latarka, podniosłem ją i popędziłem za nim.

– Nie tup tak! – syczał, stąpając koło mnie. – Leziesz jak słoń, wszyscy usłyszą!

– Po co na koniec dachu? – jęczałem szeptem. – Co tam jest? Czapka-niewidka?!

– Drabinka pożarowa!!! Zejdziemy z drugiej strony, obok tych ogródków, przy drugim bloku!

– O Jezu – bąknąłem, ocierając pot z czoła, podczas gdy Młody, przechylony przez krawędź dachu, szukał drabinki.

– Tu jest! – machnął dłonią i zaczął złazić. – Szybko!

Ledwo co zniknąłem za krawędzią dachu, coś z tyłu trzasnęło i dały się słyszeć co najmniej dwa męskie głosy. Najwyraźniej ktoś wyszedł na dach. Głowę dam, że byli to sąsiedzi. Modliłem się jedynie, by nie przyszło im do głowy szukać drabinki. Może pomyślał, że uciekliśmy włazem do którejś z innych klatek schodowych?

Nie wyobrażałem sobie, by ktoś uwierzył w nasze najzupełniej niewinne zamiary, mające na powrót połączyć mojego syna z wybranką serca. To nie te czasy...

Gdy znalazłem się na dole, Młody bez słowa pociągnął mnie w stronę drzew, a ja popędziłem za nim. Zatrzymaliśmy się dobre trzysta metrów dalej, gdzieś w labiryncie uliczek między blokami, których jeszcze kompletnie nie znałem.

Spojrzeliliśmy na siebie, dysząc ciężko, aż nagle Młody krótko kwiknął i zaczął się śmiać. Chichotał coraz głośniejsze, coraz mocniej i coraz bardziej zaraźliwie. W pierwszej sekundzie miałem ochotę go po prostu ugryźć, nie rozumiejąc powodów tej radości, gdy on nagle wyjęczał:

– A wiesz, kto to krzyczał...?

– Kto?!

– Pani Sąsiadka...!!! – kwiknął znowu i usiadł na poręczu obok trawnika, trzymając się od śmiechu za

brzuch. – Nawet nie byłem przy jej oknie, bo ona przecież mieszka obok nas, w drugiej klatce! Pani Sąsiadka, seksbomba do podglądania! Ofiara zboczeńców i przedmiot pożądania, niech mnie drzwi ścisną!!!

Patrzyłem na niego w osłupieniu z dziesięć sekund, zanim dotarło do mnie to, co usłyszałem. Ryknąłem śmiechem tak głośno, że aż się zakrztusiłem.

Dojście do siebie zajęło nam dobre pięć minut.

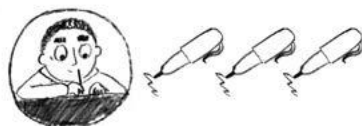
– Teraz chyba możemy iść na długi spacer – szepnąłem w końcu, a brzuch bolał mnie ze śmiechu.

– Głowę daję, że tam teraz stoi radiowóz, a policja zbiera zeznania od świadków. Przede wszystkim, oczywiście, od najbardziej poszkodowanej.

– Oby tylko nie zapukali do Kary – spowaźniał nagle Młody. – Co będzie, jeśli pokaże im tę kopertę z płytą...?



Finat - część I



– W zasadzie, to należą się wam specjalne podziękowania – powiedział aspirant Polański, siedząc przy naszym kuchennym stole i popijając herbatę. Jakoś tak się stało, że ostatnie kilka dni wypełnione rozmowami telefonicznymi sprawiło, że zaczęliśmy się zaprzyjaźniać. – Możemy dać to wam na piśmie. Ze szczególnym uwzględnieniem zasług Elfa. Chcecie?

Spojrzałem na Młodego, któremu momentalnie zaświeciły się oczy. Prawie tak samo jasno jak wyświetlacz jego telefonu po przychodzącym esemesie od Kary. Wszystko między nimi zaczynało bowiem wracać do normy.

Maciek pochwycił jego wzrok i roześmiał się, po czym podrapał za uchem Elfa, siedzącego u jego stóp.

– Tak, zębacz-uważacz-u – rzekł z humorem, patrząc uradowanemu psu w oczy. – Dostaniesz piękny dyplom!

– Dodaj do tego garstkę surowej wątróbki – dodałem pospiesznie. – Doceni to z pewnością bardziej niż dyplom.

– A z dziesięć kilo mu kupimy!

– Trzeba będzie zamrozić – rzekł Młody ostrzegawczo.

– Tyle na raz nie zje, prędzej się...

– Przestań – przerwałem mu pospiesznie. – Wiemy, co masz na myśli. A ja chcę już tylko odrobiny spokoju, rozumiesz? Za dużo się tu działo ostatnimi czasy. Przeprowadzka, emocje z psem... chociaż nie, to akurat pozytywnie na nas wpłynęło przecież. Ale i kradzieże, i reszta...

– A złapaliście zboczeńca? – wypalił wtedy Młody, patrząc na Maćka absolutnie niewinnym wzrokiem.

Zakrztusiłem się herbatą z cytryną, czując zarazem, że jedna z pestek cytryny jakimś dziwnym cudem zawędrowała mi do nosa. Zanim zdążyłem złapać za chusteczki higieniczne, potężnie kichnąłem, na skutek czego pestka wystrzeliła mi z dziurki od nosa, odbiła się od blatu stołu i trafiła Młodego w czoło.

– Zaczynasz wypuszczać nasionka – zakomunikował, z zaciekawieniem oglądając znalezisko. – Może niedługo zaczniesz kiełkować?



– Wypchaj się! – wyrzęziłem, ocierając załzawione oczy i mokry nos. – Nie życzę sobie słuchać o jakichś zboczeńcach!

– Nie złapaliśmy – sapnął Maciek, śmiejąc się pod nosem. – Sami nie wiemy, czy tej babce coś się nie przyśniło. Kto by zjeżdżał pod jej okno na linie o drugiej nad ranem? Tym bardziej, że na dachu nikogo i niczego nie znaleźliśmy...

– Prawda? – wtrącił Młody niewinnie. – Od razu myślałem, że coś jej się zdawało. A jak krzyczała! Obudziła wszystkich dookoła! Za takie akcje powinny być kary.

– Mam za to zdjęcie naszego specjalisty od piwnic – rzekł Maciek z satysfakcją, schylając się i wyciągając coś z teczki, którą Elf momentalnie zaczął obwąchiwać z ogromnym zaciekawieniem.

Spojrzałem na fotografię i aż się zachłysnąłem z wrażenia.

– Warczał! – wykrzyknąłem. – Wtedy też warczał!!! Znam go przecież!

Zarówno mój syn, jak i policjant, spojrzeli na mnie z lekkim zaniepokojeniem.

– Znasz przestępcę? – spytał Młody potępiająco. – To... to jest naganne. Mam przynajmniej nadzieję, że nie wiedziałeś, co robi w wolnych chwilach.

– Ja wolę spytać kto i na kogo warczał – westchnął Maciek, pamiętając chyba naszą rozmowę sprzed kilku dni. – Stawiam na Elfa.

– Słusznie! – burknąłem, patrząc na Młodego i wymownie pukając się w czoło. – Znajomości z przestępcami, też coś...! Szliśmy z Elfem, nie pamiętam kiedy

i gdzie, ale facet szedł z naprzeciwka. W naszą stronę. Pies na niego warknął, aż musiałem zejść na trawnik, bo koleś chciał go kopnąć...

– KOPNAĆ Elfa?! – najeżył się Młody, a jego głos aż drżał z nagłej wściekłości. – Co za...

– Młody! – powstrzymałem go, bojąc się, że powie coś, czego potem każdy z nas będzie żałował. – Nie kopnął, nie pozwoliłem na to. Byłem na miejscu, a to jest nasz pies. Jeśli ktoś kiedykolwiek spróbuje go kopnąć albo uderzyć, bardzo szybko dojdzie do wniosku, że nie należało tego robić. Rozumiesz?

– Rozumiem – rzekł zdławionym głosem, odetchnął kilka razy, po czym trochę się uspokoił, przytulił Elfa i spojrzał na Maćka. – No dobra. I co dalej z tym gościem?

– Muszę stwierdzić, że Elf ma nosa do złych ludzi – odparł ten z satysfakcją i ponownie przyjrzał się psu, spokojnie liżącemu sobie łapę. – Facet był już wielokrotnie notowany za włamania, drobne kradzieże, ma trzy wyroki w zawieszeniu, w tym jeden za przemoc w rodzinie, ale o tym nie będę mówił przy dziecku...

– Ja wam dam dziecko – mruknął Młody obiecująco, robiąc jakiś niepokojący grymas. – Za przemoc w rodzinie, mówi pan... Mam tylko nadzieję, że nie uderzył żadnego dzieciaka?

– Dzieciaka nie – uspokoił go Maciek. – Ale ucierpie-li dorośli. Wiecie jednak, co jest najciekawsze?

Wstrzymałem odruchowo oddech, ale zamilkł na tak długo, że w pewnym momencie zaczęło brakować mi powietrza.

– Mów! – wydyszałem wreszcie. – Jest weterynarzem?!
Spojrzał na mnie z uznaniem.

– Blisko! – ucieszył się. – Jest ratownikiem medycznym. A raczej, biorąc pod uwagę obecną sytuację, był ratownikiem medycznym. Tak czy inaczej, w bagażniku woził służbowe ciuchy. Pies momentalnie wywęszył zapach, który kojarzył mu się z niemiłymi wspomnieniami. Kody do bram i klatek schodowych miał opanowane, bo ratownicy muszą mieć jeden, uniwersalny, którym mogą się dostać wszędzie w razie potrzeby. Tak samo jak policja, straż pożarna i inne służby.

Spojrzałem ciepło na Elfa, który – co ze zgrozą spostrzegłem – kończył właśnie odgryzać rączkę od Maćkowej teczki. O Boże...!

– Z taką przeszłością go przyjęli? – zgorszył się Młody. – Bez sensu!

– Służba zdrowia kiepsko płaci i ma braki kadrowe – mruknął Maciek. – Jest mało chętnych, więc chyba biorą każdego, kto się nawinie i ma kwalifikacje. A zresztą wystarczy w formularzu zaznaczyć kratkę „niekarany” i po sprawie. Nikt pewnie tego nie sprawdza.

– Spróbuj mi kiedyś dostać zawału – mruknął Młody, patrząc na mnie. – Nie zamierzam pozwolić, by zajmował się tobą jakiś oprych.

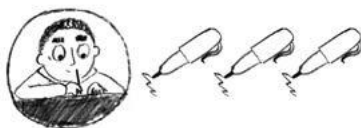
– To był wyjątek od reguły! – oburzyłem się, bo jedna z moich najlepszych przyjaciółek pracowała w służbie zdrowia i zdecydowanie była wspaniałym człowiekiem. – Nie potępiaj ich wszystkich z powodu jednego karalucha!

– Wyszło na to, że to pies miał nosa – zakończył Maciek z satysfakcją. – A teraz zapraszam was wszystkich na bilard. Ja stawiam. Idziecie pograć?

Oczywiście poszliśmy z przyjemnością.

A teczkę odkupiłem mu po drodze.

Finat - część II



– No chodź – prosiłem Elfa, stojąc na drugim końcu ażurowego mostku nad Ślężą. Pies patrzył na mnie błagalnie, próbował zrobić kilka kroków po gęstej siatce, mocnej i bezpiecznej, ale najwyraźniej przerażał go widok wody pod siatką. A przecież tu, po drugiej stronie, było tak fajnie! I drzew mnóstwo, i długa wygodna alejka wzdłuż rzeki...

– Elficzku? – rzekłem tak, by słyszał. – Jesteś dzielny, mądrym psem! Chodź tutaj, do mnie! Pójdziemy dalej!

Jakby nagle coś się w nim przełamało. Z brzuchem przy siatce przeczołgał się kilka kroków, zerknął w dół, potem spojrzał mi w oczy, aż wreszcie – dygocząc lekko – popęłnął dalej i w końcu stanął u moich stóp.

No proszę! A już byłem gotów wracać!

Trzeba było jednak kuć żelazo, póki gorące – wróciłem na drugą stronę. Elf, niepewnie, ale bardzo dzielnie,

poszedł za mną. Przeszedłem mostek znowu – pies biegł już niemal normalnie, z podniesionym ogonem. Zrozumiał, że nie stanie mu się nic złego!

Wyczochrałem go za uszami i wręczyłem nagrodę – kilka pysznych pasków suszonego łososia, które pożarł z najwyższą przyjemnością, po czym z niepokojącym zainteresowaniem zaczął przyglądać się kaczkom pływającym po rzece, za mostkiem.

No dobrze, poznawanie drugiej strony rzeki i kaczek zostawimy sobie na jutro. Teraz, po stresie z mostkiem, niech wróci do znanych zakątków – czyli łąk, zarośli i wysokich trzcin, wśród których tak bardzo uwielbiał buszować.





To, co musiałem dziś zrobić, do tej pory przyprawia mnie o ciarki na grzbiecie. Taka jakaś rzecz, pod spodem pełno wody, i ja mam po tym iść?! Zgroza!!!

Duży emanował jednak spokojem i chyba tylko jego zapach – przyniesiony z drugiej strony rzeczki przez wiatr – sprawił, że w końcu odważyłem się, na ugiętych łapach, zrobić kilka kroków. Nic pode mną się nie załamało, nic mnie nie złapało za brzuch, więc spojrzałem na Dużego jeszcze raz, aż w końcu – raz kozie śmierć! – pobiegłem w jego stronę. Ależ był zadowolony!

Koniec końców okazało się, że ten mostek to wcale nie jest taka głupia rzecz, bo po drugiej stronie wyczułem wiele interesujących, nowych zapachów. Duży zdecydował jednakże, że dziś wrócimy na znaną mi stronę. Tam zresztą, od paru dni, też było czuć nowy, intrygujący zapach. Głowę dam, że łąki miały jakiegoś nowego mieszkańca albo może nawet kilku, ale... kim oni byli?! Do tej pory jakoś nie doszliśmy do miejsca, w którym mieszkali. Choć mniej więcej wiedziałem, w którą stronę trzeba iść. Po prostu w ślad za tymi zrytymi kawałkami trawy, niedaleko miejsca, gdzie znalazłem zdechłego zająca!



Po raz kolejny na łąkach dostrzegłem tak okropnie zryte miejsca, że znowu zacząłem się zastanawiać, komu

chce się tu chodzić z jakimś pługiem i orać nieużytki. W dodatku rycie wyglądało na dziwnie nieregularne, zorane miejsca rozsiane były dość przypadkowo i, ogólnie rzecz biorąc, byłem lekko zdegustowany metodami tajemniczego, zapewne domorosłego, rolnika.

Dziś poszliśmy trochę dalej. Głównie dlatego, że właśnie skończyłem tomik opowiadań i chciałem podarować Elfowi trochę więcej czasu, a sobie – odrobinę bezcennego spokoju, który zawsze czułem na naszych długich spacerach.

Mieliśmy szczęście, że akurat nigdzie w polu widzenia nie było innego zapaleńca z psem. Nie trzeba więc było wołać Elfa i przypinać mu smyczy – mógł biegać, gdzie chciał, bo zawsze trzymał się w zasięgu wzroku, to znaczy tak, by to on miał mnie w polu widzenia. Kiedyś schowałem się przed nim w rowie i biedny pies miał do mnie wielkie pretensje, gdy w końcu mnie odnalazł. Więcej mu tego nie zrobiłem.

Teraz jednak nagle gdzieś zniknął. Miałem wrażenie, że wbiegł w potężne, daleko ciągnące się pole trzciny.

– Elf? – krzyknąłem w dal. – Elfie, wracaj!

Elf jednak zniknął.

WRRRRR...



Nowy zapach zaprowadził mnie dalej niż zwykle. W pewnym momencie stwierdziłem z niepokojem, że nigdzie nie widać Dużego. No tak, on nie umiał biegać tak szybko jak ja, więc pewnie został z tyłu!

Już miałem wracać, gdy nagle zapach nowego mieszkańca łąk dobiegł mnie ze zdwojoną siłą, z kępy trzciny kawałek dalej. Oczywiście musiałem sprawdzić, kto tam teraz mieszka, bo a nuż będzie skłonny się ze mną zaprzyjaźnić?

Podszedłem bliżej, zajrzałem w trzciny, wlałem kawałek dalej... i wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Z potwornym łomotem w moją stronę wystarowało coś wielkiego, wydającego z siebie przerażający odgłos – ni to kwik, ni jakieś chrupkanie. Zamarłem na ułamek sekundy i podkuiliłem odruchowo ogon, ale gdy ujrzałem straszliwe, sterczące kły tego czegoś, zrozumiałem, że mam tylko jedno wyjście.



Szedłem wałem oddzielającym rzekę od łąk, wychodząc z założenia, że z góry widać więcej, a i Elf mnie łatwiej zobaczy. Wielka kępa trzciny, w której – jak mi się zdawało – zniknął pies, była coraz bliżej. Zaś łąka w tamtej okolicy zryta była jeszcze bardziej niż gdzie indziej.

I wtedy się zaczęło.

Z trzcin, niczym pocisk, wyskoczył Elf ze stulonymi uszami i podkulonym ogonem. Pędził jak błyskawica prosto ku mnie. W ślad za nim z trzcin wypadł potężny, olbrzymi dzik, który nawet z takiej odległości wyglądał na bardzo rozwścieczonego.

W głowie miałem zupełną pustkę, kołatał mi się tylko pamiętany z dawien dawna wierszyk: „Dzik jest dziki, dzik jest zły, dzik ma bardzo ostre kły”²... Obok nie było absolutnie żadnego drzewa, na które mógłbym wleźć, uciec nie zdołałbym za nic w świecie... więc stałem nieruchomo i po prostu czekałem na to, co miało się stać.

W połowie łąki Elf nagle przystanął na sekundę, zawahał się jakby, po czym zrobił zwrot o dziewięćdziesiąt stopni i zamiast ku mnie, popędził w głąb łąk, gdzie rosło sporo drzew i wysokie krzewy. Dzik zarył w ziemię raciami, również zrobił zwrot i popędził za nim.

Zakryłem dłonią usta, serce biło mi jak szalone i patrzyłem na to wszystko niemal nie wierząc, że dzieje się naprawdę. Po krótkiej chwili z leciutką ulgą dojrzałem, że dystans pomiędzy Elfem a dzikiem zwiększa się z sekundy na sekundę. Matko Boska, co tu się dzieje!!!

² Jan Brzechwa, *Dzik jest dziki*.



Pies zniknął między krzakami, dzik zwolnił, pokręcił się przed drzewami, po czym wolnym truchtem zaczął wracać tam, skąd przybył. Powolutku usiadłem na skarpie, by mniej rzucać się w oczy. Elf mnie znajdzie, tego byłem pewien. Wiatr zaś wiał akurat od strony dzika w moją, więc ten uzbrojony w szable potwór nie powinien mnie wywęszyć. Najważniejsze, że dał w końcu spokój psu.

Potem siedziałem i czekałem. I czekałem...



Byłem absolutnie przerażony. Rozumiałem doskonale, że straszliwy potwór za mną jest wściekły, bo w tym krótkim ułamku sekundy dostrzegłem parę innych, dużo mniejszych potworów za nim. Pewnie to były jego dzieci, a on pomyślał, że chcę im zrobić krzywdę... Wiedziałem jednak dobrze, że nie mam czasu na tłumaczenie mu moich zamiarów, pozostawało uciekać tam, gdzie uciekałem zawsze, gdy czegoś się bałem: za plecy Dużego!

Nagle przyszło mi jednak coś do głowy. Wyraźnie czułem tętent racic za sobą, przypominałem sobie te okropne, sterczące kły... czy aby na pewno Duży da sobie z nimi radę? Moje wątpliwości trwały tylko chwilę. Nie, nie, nie! Nie mogłem tego zrobić! On zrobi krzywdę mojemu Dużemu!!!

Ostro skręciłem i popędziłem w inną stronę. Zdawało mi się, że jestem od potwora szybszy, biegać lubiłem, a ten za mną wyglądał mi na trochę ociężałego. Wpadłem po-

między krzewy, parę razy skręciłem, i biegłem, biegłem... Zatrzymałem się daleko stamtąd, ciężko dysząc. Ale przynajmniej po potworze za mną nie było nawet śladu.

No tak, teraz wypadałoby znaleźć Dużego.

Najpierw powęszyłem jednak uważnie, momentalnie zorientowałem się, gdzie jest rzeka, przebiegłem przez wał i napiłem się wody.



Minęło ponad pół godziny coraz bardziej przepelnionego napięciem czekania, gdy nagle w oddali ujrzałem sterczący dumnie ogon, wylaniający się spomiędzy kęp wysokiej trawy. Ogon podążał w moją stronę, czasem zakręcał, ale ten ogon poznałbym wszędzie!

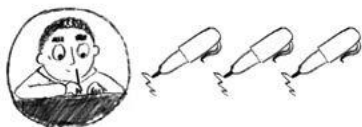
Zbiegłem z wału i popędziłem w jego stronę. Minutę później klęczałem na ziemi, a kochane Elfisko, z łapami opartymi na moich ramionach, z zapalem wylizywało mi uszy i poprawiało jęzorem fryzurę.

– Mój dzielny, wspaniały pies – szeptałem mu do ucha, tuląc go i tarmosząc pieśczołtliwie. – Mój cudowny, mądry pies...!

Doskonale wiedziałem, że tym nagłym zwrotem podczas ucieczki psisko ocaliło mi skórę. W starciu z dzikiem nie miałbym bowiem najmniejszych szans...

Wyglądało na to, że ktoś tu dostanie nadprogramową, całkiem sporą porcję wątróbki.

Finat - część III i naprawdę ostatnia!



Siedzieliśmy z Ewą na tarasie za jej domem i patrzyliśmy, jak Elf i Erka w dzikim galopie biegają z krańca pola w naszą stronę. Raz jedno wyprzedzało drugie, to znowu samo dawało się wyprzedzić.

– Psia radość! – rzekła Ewa, kręcąc głową i śmiejąc się. – Popatrz tylko na nich!

– Które szybsze? – spytałem, starając się ukryć wzruszenie. Jakie to wielkie szczęście, że oba psiaki znalazły swoje domy! W dodatku tak blisko siebie, mogły się często widywać, bawić, razem biegać...

– Remis – odparła stanowczo. – Zauważyłeś, że prawie nie sposób ich odróżnić?

– Elf ma malutką białą plamkę między oczami! – roześmiałem się. – Ale na odległość wyglądają identycznie, to fakt. Może tylko Erka jest ciut ciemniejsza od Elfa.

– Może troszkę – zgodziła się Ewa. – Elf już za to pięknie wygląda, och! Sierść błyszcząca, kości mu już nie sterczą, a ona musi się jeszcze troszkę poprawić. Trzeba tylko jakoś ją namówić, żeby też zrobiła się sławna i zła-pała jakiegoś oprycha.



– Wpadaj z nią częściej do nas, na Nowy Dwór – mruknąłem obiecująco. – Myślę, że da się coś wykombinować. Na początku niech wywacha tych wszystkich durniów, którzy chleją piwo i rozbijają potem na trawnikach butelki. Albo tych, co wyrzucają resztki jedzenia z okien...

– Po co? – zdumiała się Ewa. – Znaczy się, po co wyrzucają?

– By dokarmić kotki – warknąłem. – Zamiast postawić te resztki gdzieś wyżej, gdzie kot wskoczy, a psy nie dosięgną... szkoda gadać. Potem pies dorwie jakieś gnijące resztki i zatrucie murowane.

– Boże...!

– Ciesz się, że masz własny dom, a nie mieszkanie – rzekłem z westchnieniem. – Popatrz, jak szaleją!

Akurat wtedy Erka i Elf, machając ogonami, podbiegły do nas. Elf położył łeb na moich kolanach, a Erka podstawiała swój pod rękę Ewy, domagając się pieszczot.

Potem psy ułożyły się u naszych stóp, dysząc ciężko po długiej zabawie.

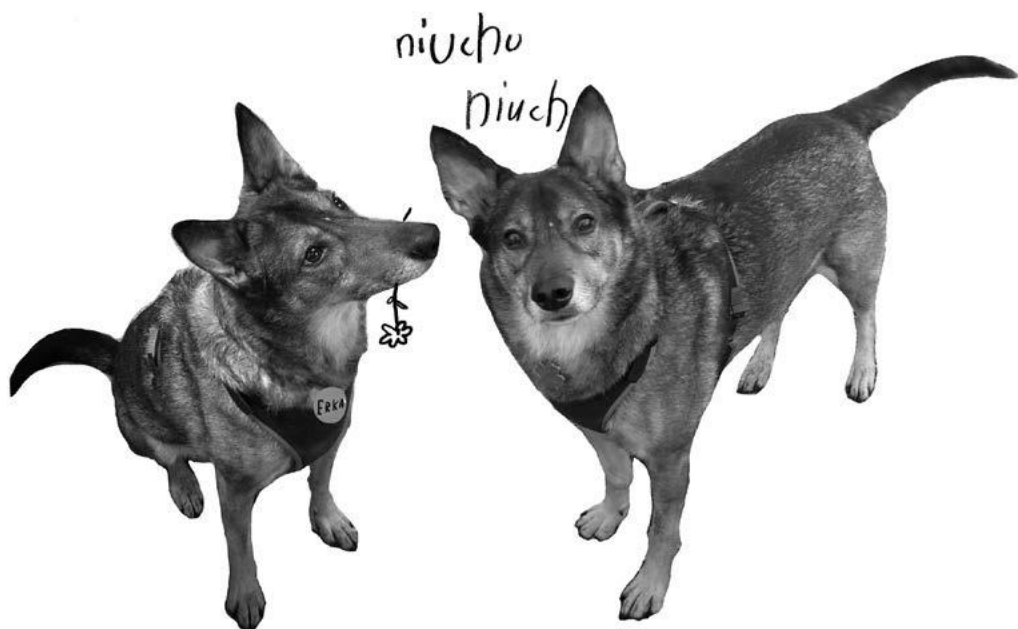
Ewa nagle się odwróciła i zamarła, patrząc na mnie.

– No, co takiego? – spytałem w końcu, bo wyraźnie widziałem, że coś chodzi jej po głowie. Wtedy jednak zadzwonił mój telefon.

– Słucham? – spytałem grzecznie, bo numeru nie znałem. – Halo?

– Ja chciałem tylko panu podziękować – dobiegł mnie z drugiej strony przyciszony głos. – Nie mogę głośno mówić, jestem z tatą na basenie.

– Ale kto mówi? – zdumiałem się, choć głos wydawał się znajomy.



– Olek – szepnął przyjaciel mojego syna. – Nic nie musi pan mówić, ja wiem, o co chodzi, głowę dam, że pan z nim gadał. I dziękuję! Ojciec wziął mnie na mecz, teraz jesteśmy na basenie, gadamy i jest super!

– Nic o tym nie wiem – odparłem dyplomatycznie, ale nigdy nie umiałem przekonująco kłamać.

– Jasne – rzekł Olek zgryźliwie, ale w jego głosie brzmiały nutki śmiechu. – Na razie, i dzięki raz jeszcze!

Uśmiechnięty od ucha do ucha schowałem telefon i napotkałem spojrzenie Ewy, która wyglądała tak, jakby miała eksplodować z podekscytowania.

– Przepraszam – usprawiedliwiłem się. – Ale to było ważne. Co chciałaś powiedzieć?

– Napisz o nim książkę! – wykrzyknęła triumfalnie. – Przecież to piękna historia!

– O kim?! – spytałem niepewnie, w pierwszej sekundzie myśląc o Olku.

– O Elfie! I o tobie! O wszystkim! Od samego początku aż do teraz!

– Matko Boska – rzekłem, wstrząśnięty. Że też wcześniej mi to nie przyszło do głowy! – No tak, to jest do zrobienia. Ale wiesz, musisz się pogodzić z tym, że ty też się w niej znajdziesz. I Erka. Bo też jesteście częścią tej całej historii.

– Ja się zgadzam – oznajmiła Ewa stanowczo. – A ona z pewnością też. Prawda, Ereczko?

Suka podniosła łeb i zamachała ogonem.

– O widzisz! – ucieszyła się Ewa. – No, to dziś wieczorem proszę wziąć się do pracy. Skończyłeś pisać poprzednią? Tak? No, to cudownie. Czekam więc na efekty...



– Trochę nerwus, ale fajny w sumie jest! – kończyłem opowieść o moim Dużym. – Tylko według mnie trochę za dużo czasu spędza przed taką skrzyneczką z ekranem. Ciągłe stuka i stuka, a tam takie robaczki na białym tle się pokazują. Muszę jednak trochę go jeszcze podchować. Znaczy się, wychować tak, by zamiast siedzieć przed skrzyneczką, chodził na dłuższe spacery.

– Ale jak to się stało, że najpierw cię zabrali, a teraz znowu jesteśmy razem? – zadumała się Erka, kładąc łeb na mojej łapie. Nad naszymi głowami trajkotali Duży i Ewa, ale my mieliśmy własne tematy.

– Byłem tu już kiedyś – przypomniałem sobie. – Ale wtedy jeszcze ciebie tu nie było. Tylko tamte inne psy: Majka, Zuzia i Malina. A teraz przyjechaliśmy, no i proszę! Jesteś. Myślę, że to nie jest przypadek. Moim zdaniem Duży miał z tym coś wspólnego. Wiesz, jak bardzo się cieszę?

– A myślisz, że ja to co? – mruknęła radośnie Erka, patrząc na mnie swoimi orzechowymi oczami. – Tak mi tu dobrze! No i wreszcie się odnaleźliśmy...!

Położyłem łeb na stopie Dużego, chwilę potarł moją nogawkę jego spodni, co nagrodził drapaniem za uszami. Aż westchnąłem z zadowolenia.

– No i proszę – rzekłem cicho, szczęśliwy do granic możliwości. – Wielkie to, bez ogona, człapie nieporadnie na tych dwóch nogach, ale to Mój Własny Człowiek...



Spis treści

Marząc o lesie i oswojonym człowieku	5
Przeprowadzka, nowy pomysł Młodego i pewien niezwykle sen	8
Czy sen się spełni?	15
Dzień, który w końcu musiał nadejść	23
Pierwsze dni: zupełnie nowy świat!	32
Weterynarz, czyli pewne sprawy, których uniknąć się nie da	41
Do kogo ja trafiłem?!	44
Sposób na Karę, czyli co tu zrobić?	49
Historia pewnej róży, czyli całkowita katastrofa	52
Gdzie rosną kielbasy?	59
Coś złego i coś dobrego	67
Zły człowiek	71

Pani Sąsiadka	75
Grubcio, Czesław i tajemnica okolicznych piwnic	78
Śmiertelnie Groźne Rzeczy oraz bardzo poważna rozmowa	84
Coś, czego nikt z nas trojga się nie spodziewał	92
Pierogi, gołąb, a na koniec kaganiec... Co za upokorzenie!	100
Czesław i Młody	110
Nagłe rozjaśnienie sytuacji	116
Śledztwo – część I	120
Śledztwo – część II	126
Kolejne rozjaśnienie sytuacji oraz mały nocny dramat	131
Finał – część I	138
Finał – część II	143
Finał – część III i naprawdę ostatnia!	151

O innych moich przygodach
przeczytacie w:



www.wydawnictwoliteratura.pl





Marcin 5 lat



Marcin 3 lata

I KTO TU KOGO
Nazywa
SZCZENIACZKIEM?





Marcin Pałasz – pisarz, autor słuchowisk, członek Polskiej Sekcji IBBY. Mieszka i pracuje we Wrocławiu. Motto jego twórczości to „słowa niosą uśmiech”. Wielokrotnie nominowany, wyróżniany (w konkursie na Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego w 2007 roku za *Wakacje w wielkim mieście* i w 2009 za *Wszystko zaczyna się od marzeń*). Jego powieść *Sposób na Elfa* otrzymała wyróżnienie w konkursie literackim IBBY Książka Roku 2012 oraz Nagrodę Literacką im. Kornela Makuszyńskiego.
ELF (ang. Extraordinary Life Form) – Bardzo niezwykła forma życia.



Nigdy nie miałem psa, nie wiedziałem więc, jak to jest. A to prosta droga do wielkiej miłości! Mój syn odczuwa to podwójnie, bo przeżywa akurat pierwsze poważne zauroczenie... Tymczasem mamy problemy ze wścibską sąsiadką, razem ze znajomym policjantem tropimy osiedlowego złodzieja... Jak zawsze – dzieje się. Cud, że miałem chwilkę, żeby to spisać!

ISBN 978-83-7672-788-2



9 788376 727882

cena 26,90 zł

Polecają:

KOCIE
sprawy

czas
dla dzieci

Alturka.pl
dziecko i kultura

dzieci
w łodzi

gaga.
www.egaga.pl